

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10
Półrocznie (26 tomów) „ 5
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie . (26 tomów) „ 6
Kwartalnie . (12 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —
Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 8 „ —
Kwartalnie . (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski,



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 289.

Nad Morzem.

(Z NOTATEK TURYSTY)



przez

OSTOJĘ.

Sawicka Józefa



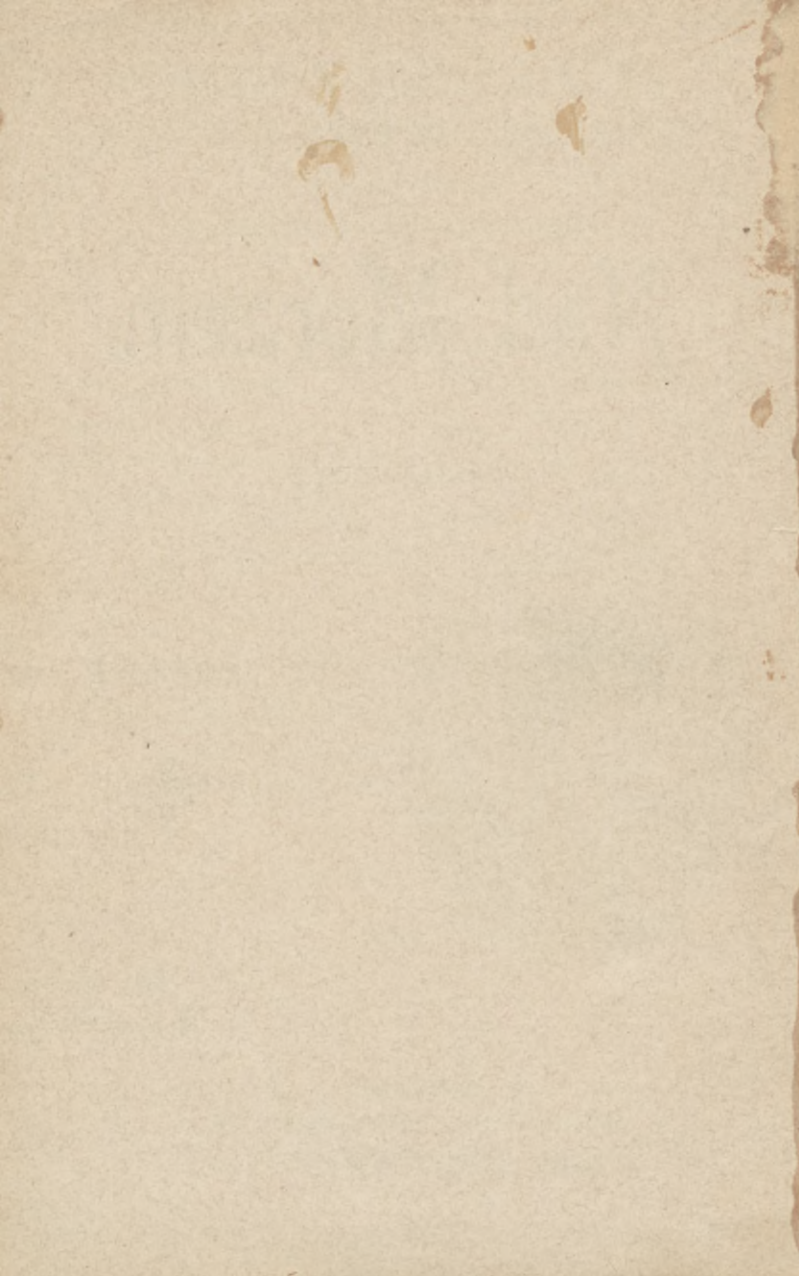
Cena 40 kop.

WŁADYSŁAW KOSTERSKI W pren. 30½ kop.

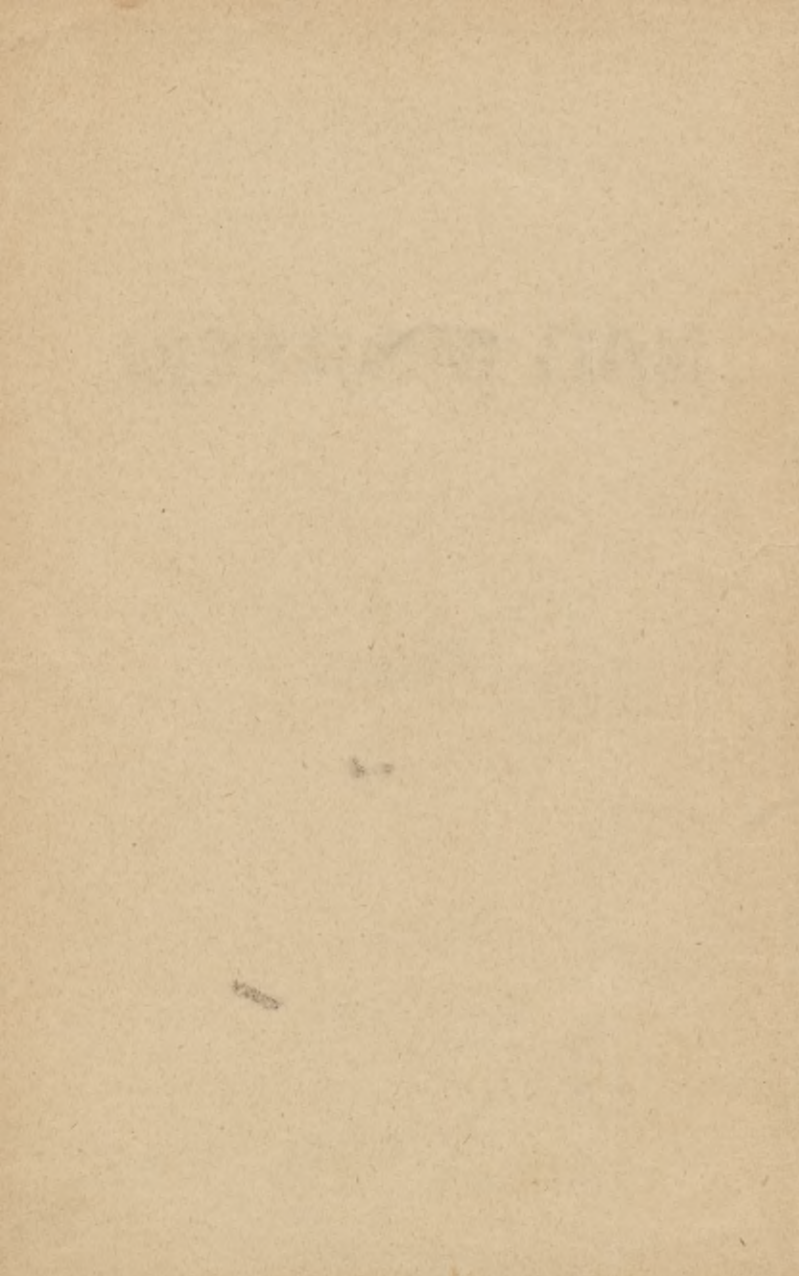
WARSZAWA

Redakcyja i Administracyja
47. Nowy-Świat 47.

—
1903.



NAD MORZEM.



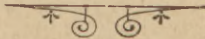
1208

OSTOJA.



NAD MORZEM.

(Z NOTATEK TURYSTY.)



WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47

Дозволено Цензурою.

Варшава 25 Июня 1903 года.



121523

Dwaj bracia Niemcy nie widzieli się przez lat dwadzieścia, a gdy się spotkali, każdy sobie bułkę kupił i każdy sam zjadł.

(Z podań ludowych).

Morze drzemie, upał; ciemno-szafirowa barwa wody łączy się na horyzoncie z szafirem obłoków. Od czasu do czasu lekki dreszcz przebiega powierzchni, drobna fala rzuca pianę na brzeg piaszczysty, słońcem zalany. Cisza. Gdzieś nad piaszczystą powierzchnią wybrzeża wystaje arkusz gazety, kapelusz słomkowy, para rąk, lub para nóg w żółtych trzewikach — to amatorowie kuracy piaskowej, zagrzebani po szyję pieką się na słońcu po zimnej lub ciepłej kąpieli.

W parku duszno, w ulicach ani żywego ducha; w cienistych zakątkach stłumiony szwargot i szmer brzęczący, właściwy wszystkim zakątkom niemieckim — to Niemki robią pończochy. Na ławkach otyle kobiety w kapeluszach słomkowych, z pończochami w ręce, przeprowadzają przechodnia leniwem spojrzeniem; szybko poruszane druty migają w słońcu, przeświecającem przez liście drzew i krzewów. Młode Niemki w jasnych sukniach, w białych kapeluszach, pulchne, czasem ładne, robią szydełko-

we koronki. Tu i owdzie na gazecie lub książce nadgryziony butersznyt z szynką, butelka piwa wygląda dyskretnie pomiędzy dwiema otyłymi paniami.

Pod każdym krzakiem, w każdym dołku, na każdej łączce dzieci tłuste, białe, w pół nagie czołgają się po trawie, drzewią w wózkach, leżą, siedzą, próbują wstawać na czworakach. Wyborowy towar dla bocianów.

Ztąd roznoszą je po całym świecie, na miejscu zostają tylko najtłuściejsze i najcięższe, z których następnie wyrastają porucznicy pruscy, policyanci i te białe panny o szerokich biodrach i tłustych karczkach, robiące gorliwie koronki szydełkowe.

Nudy. Dziś zrana uczony profesor dowodził jedynym stylem, od którego świdrowało mi w uszach, że wypoczynek nad morzem polega na wygrzewaniu się na słońcu nad pełnym kuflem, następnie obiad, spacer i sen na pierzynie, pod pierzyną, w szlafmycy i wełnianych skarpetkach. Nadmienił przytem, że Bismark to geniusz, a polityka kolonialna i t. d.

Dwa wielkie słowa: Bismark i kolonie, ściągnęły ku niemu dwóch, trzech, a następnie dziesięciu gawędziarzy. A gdy w godzinę potem przechodziłem około nich, wciąż jeszcze pili piwo i urządzali swoje kolonie.

Szczęśliwi, nawet upał grabią, rozbijają, niszczą i na gruzach sieją własną cywilizację, której owoce nie wszystkim jednakowo smakują.

Usiadłem w oddalonym kącie parku, krzaki akacyi osłaniały mnie zielonym baldachimem, w którym trzepotało się i szczebiotało mnóstwo ptaków, tłumiąc swym gwarem rozmowę dwojga ludzi, po drugiej stronie altany, za memi plecami.

Mówili po polsku.

Niemiec rzadko się bawi w subtelne miłostki. Zadużo pracuje i zbyt łatwy ma przystęp do ko-

biet. Wertherzy wyginęli w rewolucyi, wojna prusko-francuska pochłonęła resztę romantyków. Prusak zwycięzca zdrów, trzeźwy, pracowity, wie dobrze, co mu się od życia należy. Dążąc do panowania nad światem, przedewszystkiem musi być panem u siebie w domu.

W każdym innym kraju tak znaczna liczebnie przewaga kobiet nad mężczyznami wytworzyłaby może jakieś zachcianki rewolucyjne... tu cicho, sza — wszyscy zadowoleni. Barczysty porucznik w przystępie dobrego humoru uśmiecha się protekcyjnalnie do sześciu naraz dorodnych dziewczec. On wybiera, one zaś zadowolają się widokiem jego okazałej postawy.

Dzisiejszy Werther żeni się młodo z panną posażną i jest nie tyle wiernym, ile despotycznym mężem. Natomiast brukowe gazety berlińskie codziennie notują fakty samobójstwa wśród młodych dziewczyn.

Biedne Karolcie!

Turysta nie może być dyskretnym, jeżeli chce poznać ludzi i obyczaje. Zresztą tajemnica beziemienna przestaje być tajemnicą; jest to niby urywek z listu bez początku i końca, w który przekupka zawija nam wiśnie. Kreślono go może krwią i łzami, a cóż nas to może obchodzić?

Słuchałem tedy rozmowy, jak się słucha szmeru w cichy dzień letni.

Pośród zielonym baldachimem z akacyi panował chłód przyjemy, szczebiot ptaków ucichł, a młoda para za mojemi plecami rozmawiała zcicha, milkła i znów odzywała się półgłosem:

- Nie mówmy o tem...
- Nie masz żalu do mnie?
- Jestem szczęśliwą.

Mężczyzna zniżył głos, błagał, uspakajał, przekonywał, ze słów urywanych, gorących i pieśzcotli-

wych zarazem domyśleć się mogłem, że na to spotkanie czekali oddawna oboje; on przybył o parę dni później, niż obiecał, usprawiedliwiał się, przeproszał, całą swą duszę rozkochaną przed nią rozłączał.

Ona przedtem musiała wymówić jakieś słówko zwątpienia. Straszne słowo, którego on zapomnieć i wybaczyć nie mógł. Zwątpiła o jego miłości.

Czułem żar w piersiach, słuchając jego stłumionego głosu, w którym było tyle szczerego, gorącego uczucia.

Umilkł. Gałęzie akacyi poruszyły się z szelestem. Obejrzałem się na moich sąsiadów.

Kłęczał przed nią, twarz na jej kolanach ukrył.

Ujęła głowę jego w obie dłonie, spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się rozkosznie.

Oboje byli młodzi i piękni; ona szczupła brunetka z szaremi oczami, przesliczna...

Spotkałem ją raz przy obiedzie w pensyonacie czcigodnej pastorowej, jedliśmy razem flądry ze śliwkami, ryż ze szmalcem i śledzie ze słodkim sosem na deser. Już wówczas wydała mi się ślicznym zjawiskiem, oczu od niej oderwać nie mogłem.

Nazajutrz przyszedłem z silnem postanowieniem zaznajomienia się z nią bliżej.

Usiadłem zawczasu obok jej krzesła, a w parę minut na temże krześle usiadła szpetna Angielka, wesółka, śmiejąca się, ruchliwa. Przez cały obiad z towarzyszką swoją przez stół powtarzały koniugacye niemieckie czasów złożonych: *ich habe, gehabt haben* i t. d., co przy śpiesznej wymowie wytwarzało rodzaj szczekania piesków pokojowych. Bawiły się doskonale i ja musiałem się śmiać z niemi.

Zwykle w opisach ośmieszają te młode kobiety energiczne, przebiegające świat z Bedekerem,

notesem i ołówkiem w ręce. Na mnie robią one wrażenie skromnych i uczciwych chłopaków, którzy, zamiast marnować siły w bezczynności, rozglądają się po świecie i wracają do kraju lepszymi i rozumniejszymi, niż byli przed wyjazdem.

Zjawisko zniknęło.

Nie mogłem się dowiedzieć jej nazwiska; zrażony smutnem doświadczeniem, nigdy Niemców nie pytam o polskie nazwiska.

Stłumiłem oddech, ażeby najłżejszym ruchem nie przerwać rozmowy, która stopniowo przeszła w szmer i kontemplację.

Rozmawiali wzrokiem, uśmiechem, uściskiem ręki...

Ona wypiękniała jeszcze przez te parę tygodni: na bladą twarzyczkę wystąpił rumieniec, oczy bardzo smutne i bardzo spokojne nabrały blasku i życia.

W białej sukni, w koronkowej budce z żółtymi różami wyglądała czarująco. Oparta ramieniem o jego ramię, siedziała nieruchoma, upojona szeptem miłosnym.

— Milczysz? Czy jeszcze cię nie przekonałem i nie przebłagałem?

Spojrzała na niego rozkochanymi oczami.

— W milczeniu czas wolniej schodzi. Każdą minutę chciałabym przedłużyć do nieskończoności.

— Mamy całe życie przed sobą.

— Boję się jutra.

— Czy wczoraj było lepsze?

— Nie wspominaj mi nigdy o przeszłości. Będę miała dość czasu na rachunek sumienia później, kiedy nadejdzie czas pokuty.

On spowaźniał, odsunął się od niej i milczał...

— Jakich jeszcze dowodów uczucia wymagasz odemnie?—spytał po chwili.—Jestem zanadto prosty i szczerzy, może zanadto zapracowany, pochłonięty istotnem życiem, ani subtelnym, ani wymownym być nie potrafię... Oddałem tobie całą moją duszę. Jeżeli to twych smutnych wspomnień stłumić nie może, to przynajmniej nie mów mi o tem. Niech mam chociaż złudzenie, że i ty całą duszą do mnie należysz.

Patrzyła na niego z dziwnym jakimś uśmiechem... Było tam dużo smutku, trochę ironii i zdziwienia...

— Ja twego życia... nie złamię — szepnęła po namyśle.

Słowa te widocznie zrozumiał po swojemu, czy może nie chciał przedłużać chwilowego rozdźwięku; przycisnął jej rękę do ust:

— A więc zgoda. Żyjmy chwilą obecną i bądźmy szczęśliwi — zawołał pochyłony ku niej, spragniony pieszczot i pocałunków więcej, niż rozmowy.

Chciałem mu się przyjrzeć zblizka, uchyliłem ostrożnie gałąź akacyi, wtem z za krzaku wyszedł pyszny ponter, z czarnemi, błyszczącemi oczyma...

Stanął przedemną i spojrzał w twarz, szczerząc zęby, śmiał się z mojej ciekawości, czy może ze sceny miłosnej, której się zblizka przyglądał, śmiał się najwyraźniej, zmrużył oczy i kiwał głową, jak filozof, szydzący z marności tego świata. W końcu przysiadł na tylnych łapach i oczu ze mnie nie spuszczał, przy najlżejszem mojem poruszeniu gotów zaszczezać.

Patrzyliśmy na siebie uważnie; pies, jakgdyby zrozumiał moje kłopotliwe położenie, zaczął się

znowu uśmiechać, przechylając głowę na prawo, to na lewo.

Przeciągłe gwizdanie rozległo się za moimi plecami.

Pies zerwał się na cztery łapy, pobiegł do panna, a z za krzaka raz jeszcze obejrzał się na mnie, szczerząc zęby.

Odeszli w głąb parku; pies szedł za nimi ze spuszczoną głową.

Zbliżała się pora obiadowa; Niemki, jak kokoszki, zwoływały swoją dziatwę, a jednocześnie chowały do worków pończochy i koronki.

Co tu zdrowia, co sił! A jaki błogi spokój w tych twarzach, często przystojnych, częściej beżmyślnych, a prawie zawsze zadowolonych.

Niemka, to typ kobiety w normalnem społeczeństwie.

Wychodzi zamąż młodo, rodzi zdrowe dzieci, gospodaruje oszczędnie, ulega mężowi i uśmiecha się błogo, ile razy mężczyzna spojrzy na nią poządliwie.

Wierną jest nie z zasady, ale z konieczności: za mało ma pokus, a za dużo kłopotów z dziećmi i gospodarstwem.

Wrodzona oszczędność nie pozwala jej tracić czasu: flirtując nawet, robi pończochę. A jeżeli zdarzy się jej zdradzić męża, to chyba nigdy bezinteresownie i, kto wie, może czyni to z zupełnie spokojnem sumieniem?

Niezmierna praktyczność musi odbijać się i w pojęciach etycznych.

Człowiek nie może bezkarnie żyć tylko dla siebie, dbać o dobrobyt jedynie.

Niemiecka kobieta tylko takim życiem żyje. Uczy się dużo; ale szablonowe, zaprzątnięte drobiazgami otoczenie domowe nie rozwija w niej szlache-

tniejszych upodobań, nauka szybko się ulatnia, nie wywarłszy prawie żadnego wpływu na naturę skrzętną, zmysłowej gosposi. Czy dlatego Niemki mniej są warte od kobiet innych krajów? Bezwarunkowo nie. Dzieci zawdzięczają im zdrowie, mężowie ład i oszczędność w domu, społeczeństwo zaś mnóstwo szydełkowych i włóczkowych robótek. Posiadają przytem godną zazdrości energię i pracowitość. Rodzi się ich o cały milion więcej, niż mężczyzn, zawczasu tedy przygotowują się do życia samodzielnego; stają do pracy z zawiniętymi rękawami pogodnie, wesołe, może trochę za rubaszne, ale wytrwałe i logiczne.

Rozprawy o równouprawnieniu, o studyach uniwersyteckich pozostawiły gadatliwym próżniaczkom, same zaś wzięły się do tej pracy codziennej, której w żadnym społeczeństwie nie zabraknie nigdy. Co prawda, wyglądają niepokaźnie, brak im wykwintu, elegancji, wielki brak serca i dobroci, żyją po swojemu, dla siebie, no i tyją zbytecznie... Idealne żony dla filozofów i uczonych.

II.

Był wspaniały wieczór księżycowy.

Morze falowało zlekka; szum fali rozlegał się po parku.

Ponad świerkami księżyc płynął z wolna. Na promenadzie pustki; szeroka droga ciągnęła się wzdłuż parku nad morzem, na drodze ani żywego ducha.

Całe towarzystwo słuchało koncertu na deptaku, urywane tony orkiestry dolatywały na ciche pu-

ste wybrzeże, osrebrzone światłem księżyca. Szedłem długo brzegiem morza, fale słały się do stóp moich.

Minąłem park, kamienny pagórek, na którym raz jeszcze dopędziły mnie ostre tony walca.

Na wybrzeżu rybacy rozwieszali sieci: dwóch chłopców wyrostków i dziewczyna wysmukła, w krótkiej spodnicy, w białych, bufiastych rękawach. Stary rybak siedział na przewróconej dnem do góry łodzi i palił podły tytoń z porcelanowej fajki. Przysiadłem obok niego, poprosiłem ognia do cygara, podał fajkę w milczeniu.

— Morze spokojne—rzekłem—połów musieliście mieć dobry. Ryby są, co?

— Ryby są zawsze — odrzekł — a połów, jak Bóg da, co dziś nie przyjdzie, to przyjdzie jutro, ryby i morze dla rybaka.

— To wasze dzieci?

Skinął głową.

— Chłopcy już jeżdżą z wami?

— I dziewczyna jeździ.

Dziewczyna, usłyszawszy, że o niej mowa, zwróciła ku nam twarz bladą z szeroko otwartymi oczami. Straszna twarz. Policzki zapadnięte, usta otwarte, oczy obłąkane.

Starzec wyjął z ust fajkę, z wyciągniętą szyją wpatrzony w córkę, wyczekiwał aż się odezwie.

Dziewczyna odwróciła głowę i dalej rozwieszała sieci.

— Słyszysz, a nie mówi — szepnął stary. — Zły wiatr w ciężką chwilę zawiął. Tej wiosny syn mój i Karl, jej narzeczony, utonęli tu na tym brzegu. W zwykły czas pies przepływa tę trochę morza i ledwie łapy zamoczy. Głosy ich słyszałem... i ona słyszała — wskazał głową na córkę — no... i nie dopłynęli. Fala łódkę rzuciła, pod wodę poszli obaj

Ona, stojąc na brzegu, krzyknęła raz jeden i odtąd już milczy... czwarty miesiąc głosu jej nie słyszę. Zły wiatr w ciężką chwilę zawiał.

— Radziliście się lekarzy?

Machnął ręką.

— Przeciwno takiej sile jakież leki być mogą? — powiódł wzrokiem po ciemnej przestrzeni morza. — Ta siła jednego leczy, drugiego zabija... jej głos zabrała... Człek siłę tę czuję, ale mierzyć się z nią nie może... Siła i basta. Ja sześćdziesiąt lat po morzu pływam... nieraz już śmierć przed oczyma miałem... Czasem straszy... staje przedemną, jak biały wał olbrzymi, ciska łodzią w czarną przepaść. Koniec już, myślę. Patrzę, a ta po falach łodzią znów rzuca.. Jeszcze mi czas, może jutro? a może za rok? Do siwych włosów dożyłem zdrów i cały. Syn w osiemnastym roku na dno poszedł, ot! tu przy brzegu. Malcem będąc, pływał nieraz w tem samym miejscu, bawił się z falami, jak foka. Tłusty był, silny i zginął w osiemnastym roku. Taki tylko wiek odmierzyła mu moc wielka. A ja na to patrzyłem... W sam zachód słońca. Morze paliło się od czerwonego nieba, a fale były spienionym wałem, aż huk szedł po morzu, jak w dzień sądu...

Piękny grób miał chłopak; dla młodych nawet śmierć łaskawa... Ja stary pewno w ciemną noc zginę... Byleby przedtem dziewczynę zdrową ujrzeć...

Obejrzała się na nas.

A starzec znowu machinalnie rękę z fajką na kolana opuścił i czekał, pokręcił głową.

— Ha, trzyma. Codzień myślę, że się to raz skończy, a ona jakby nic, pracuje i milczy. Tylko jak na morze wypłynie, jak w głębie się wpatrzy, to... eh!

Zamilkł; odwrócił głowę, ażeby przedemną lży

ukryć, łązy w starych oczach, które już nieraz śmiało w twarz śmierci patrzyły.

Chłopcy skończyli rozwieszać sieci, znudzeni monotonną robotą, rzucili się na piasek, zaczęli się borykać, sapiąc głośno, śmieli się urywanym śmiechem. W końcu zerwali się na równe nogi i pobiegli ku chacie.

Dziewczyna poszła wolnym krokiem ku morzu. Stała w wodzie. Na szarem tle morskiem zarysowała się wyraźnie jej jasna główka... bufiaste, białe rękawy i bosc stopy. Stała nieruchoma, obłana światłem księżyca.

— Ciągnie ją tam—szepnął stary.—Moc większa, niż jej słabe siły... Dziecko słabe, a ta potęga, jak huragan, jak piorun. Jednego na miejscu ubije, drugiego zmiążdży, rozum, władzę odbierze. Moc wielka. Kochanie to nad jej wątłe siły było... a teraz i ból za wielki... ani uporać się, ani umrzeć...

— Liza—zawołał zeicha.

Dziewczyna obejrzała się, popatrzyła na ojca przez ramię i znowu ku morzu oczy zwróciła.

— Ona tylko mnie starego żałuje... Gdyby mnie nie było, dawnoby już poszła tam, do niego... niedoleby swoją skończyła; przezemnie męczy się... a ja co? ja nawet przemówić do niej nie umiem.

Liza zbliżyła się do ojca, siadła obok niego na łodzi. Stary pykał fajkę, wpatrzony w porozwieszane sieci; dolna warga drżała mu, jak w febrze.

Ucisnąłem dłoń jego i odszedłem. Z drogi obejrzałem się na nich. Siedzieli obok siebie: milcząca dziewczyna z bufiastymi rękawami i starzec pochylony z fajką w rękach.

Morze szumiało groźnie.

Błądziłem bez celu po pustych uliczkach. Ludziska wrócili już z koncertu; z oświetlonych poko-

jów przez otwarte okna rozlegał się brzęk szklanek, talerzy, rozmowa, śmiech dzieci i zapach smażonej ryby...

W altankach, obrośniętych winem, ojcowie rodzin bez surdutów, w rozpiętych koszulach, dopijali ostatniej butelki piwa, tej na dobry sen. Każdy Prusak co wieczór taką jedną wypić musi.

Mijałem altanki, słuchając urywanych rozmów: drogie życie w tym roku nad morzem... mięsa kupić się nie można, tylko ryby tanie i mleko, a dzieci apetyt mają ogromny. Dzieci — przy tem słowie miękkł oschły głos matki; ojciec nadąsany, czerwony, który dotąd jednym uchem tylko słuchał biadania na drożyznę, jako przymówki do jego kieszeni, złagodniał naraz, słuchał uważniej i w końcu dodawał, że dzieciom codziennie mięsa dawać trzeba. Gdy postanowienie zapadło, rodzice namyślali się zapewne nad ceną mięsa. Ona nic na to poradzić nie mogła. On znajdzie radę na wszystko. Z pustemi rękami pracować zaczął, a teraz willa, altanka... pięcioro dzieci i pies chudy, który nigdy nawet kości nie widzi. Tak, on znajdzie sposób, zdrów, pracowity, a taki przytem bezwzględny, chciwy i wyrachowany. Takimi ludźmi można byłoby skały rozsadzać, tyle siły w ich pięściach i łokciach: wszędzie sobie miejsce znajdą i to wygodne w dodatku.

Światła gasły w oknach i altankach, miasto zasypiało; przeszedłem kilka pustych ulic i znalazłem się w zupełnie nieznaney mi okolicy.

Po obu stronach drogi ogrody, gdzieniegdzie, wśród drzew, willa ze spuszczonemi w oknach roletami. Zapach gwoździków, róż i białych lilij nappełniał powietrze. W ciszy nocnej rozlegało się tylko echo moich kroków.

Wtem gdzieś z głębi ogrodów doleciał mnie

śpiew: miękki, salonowy baryton śpiewał serenadę z „Don Juana.”

Stanąłem, nie mogąc zrozumieć narazie, w której z tych pustych wili pokutuje duch Don Juana. Śpiew ucichł wraz z odgłosem moich kroków... i znowu cisza zaległa ulicę, osrebrzoną światłem księżyca. Liście drzew szumiały, poruszane wiatrem od morza, a wille stały puste, głuche; ani jedno światelko nie błyszczało w oknach.

Szedłem dalej zwolna, oglądając się na prawo i na lewo.

Zbliżałem się do jakiejś ciężkiej, olbrzymiej bramy, gdy przedemną nagle, niby z pod ziemi, stanął ponter z błyszczącymi oczyma, uśmiechnął się, pokazując ostre zęby i skinął głową, jak znajomemu. Machał ogonem i to na mnie, to przez bramę wgłąb ogrodu spoglądał.

Za klombem kwiatów wznosił się dziwny jakiś budynek o płaskim dachu, z szeregiem kolumn, międky którymi widniały wązkie, ciemne okna.

Przeciągły śmiech kobiecy rozległ się w ciszy ktoś wziął kilka akordów na fortepianie i znowu wszystko umilkło...

W narożnym pokoju okna były otwarte, ale nie oświetlone; bawiono się przy świetle księżyca.

Od spotkania w parku upłynęło parę tygodni: w przeciągu tego czasu widziałem ich raz jeden, jak wsiadali do łodzi we dwoje, bez wiosłarza, wypłynęli na morze i zniknęli mi z oczu. Teraz przypadkiem odkryłem ich gniazdko.

Już miałem odejść, gdy w narożnym pokoju odezwał się męzki śpiew, trochę fałszywy, ale pełen porywającego uczucia...

W oknie stanęła kobieta w białej sukni; przy

świetle księżycyca wyglądała jak widmo, pobudzone do życia mocą pieśni miłosnej.

Oparłem głowę o mur i słuchałem.

Powoli i mnie zaczęła ogarniać ta moc potężna, o której mówił rybak.

Dobrze byłoby rozplynać się na wieki w tej wonnej, świeżej, srebrzystej atmosferze.

Biała kobieta wciąż stała w oknie w błogiej ekstazie. Takich chwil w życiu chyba nigdy nie była za dużo.

— Szczęśliwi!—szepnąłem, odchodząc.

Nazajutrz po południu znowu poszedłem w stronę willi.

W dzień dom wyglądał inaczej: rudera, obrośnięta dzikiem winem, miała w sobie coś tajemniczego i malowniczego zarazem. Na bramie wywieszona karta *zu vermieten*.

Stróż z lisim wyrazem twarzy, w granatowej kamizelce, w pantoflach na bosych nogach, palił fajkę, oparty o sztachety.

W domu drzwi i okna zamknięte, ścieżki zarosnięte trawą, tylko róże i lilie kwitły obficie.

Gdyby nie ta brama olbrzymia, którą doskonale zapamiętałem, byłbym odszedł w przekonaniu, że nie trafiłem.

Oglądałem się dokoła, zdumiony zaniedbaniem i pustką, dom wyglądał tak, jakgdyby tu od lat kilku noga ludzka nie powstała.

Niemiec spoglądał na mnie, nie wyjmując fajki z ust.

Na zapytanie, czy dom do wynajęcia, uśmiechnął się chytrze.

— Tak, cały dom mogę wynająć, choćby w tej chwili—odrzekł, gryząc fajkę w zębach.

— A ci państwo, którzy tu wczoraj mieszkali?

— Tu nikt nie mieszkał.

Na piasku widoczne jeszcze były ślady nóg kobiecych: zapewne stary Niemiec miał takie małe nóżki.

Wsunąłem mu monetę w rękę i prosiłem o pokazanie mieszkania.

Natychmiast schował fajkę do kieszeni, do drugiej wsunął monetę i wciąż mierząc mnie badawczym wzrokiem, zaczął opowiadać, że willa należy do miejscowych osobliwości, zawiera dużo cennych przedmiotów, była niegdyś własnością wice-admirała, dziś należy do inspektora podatkowego, który sam tu nigdy nie mieszka, bo mu prawdziwie pańskie pokoje nie przypadają do gustu.

Szedł obok mnie ku domowi, pobrzękiwał kluczami i uśmiechał się chytrze.

— Wynajmujecie na tygodnie, czy na cały sezon?

Milczał.

Udawał, że nie może sobie z zamkiem poradzić, tak niby od wilgoci zardzewiał.

W sieni, zamiast pleśni i wilgoci, czuć zapach dobrego cygara; na stole pod lustrem napoczęta butelka wina i parę ciastek na talerzu, zapewne pamiątka po wice-admirale.

Niemiec butelkę i ciastka za szafą postawił i poszedł przedemną do dalszych pokojów.

Ciężkie kanapy, ogromne szafy i stoły ustawione raz na zawsze w ciemnych, ponurych pokojach. Robótek włóczkowych i szydełkowych co niemiara. Haftowane landszafty, poduszki, dywaniki, kwiaty, ludzie, zwierzęta i potwory różne, spłowiałe od słońca, szpetne, bez smaku i gustu, bez żadnej istotnej potrzeby oszpecały ściany i sprzęty. Kilka starych obrazów bez wartości i cała kolekcya maszynek do

kawy w oszklonym kredensie stanowiły owe osobliwości wice-admiralskiej willi.

— Jak oni mogli tu mieszkać?

Niemiec otworzył drzwi do narożnego pokoju i usunął się na stronę.

Stałem w progu.

Pokój obszerny, słoneczny, był prawie pusty. Wprost drzwi między oknami dość staroświeckie lustro, a na niem w jednym rogu ktoś misterną ręką rzucił pęk róż blado-różowych, obok data z przeszłego tygodnia.

Tego już chyba wice-admirał nie oglądał? Na piecu białym, kaflowym pęk różnobarwnych dzwoneczków, świetnie malowanych i data o parę dni późniejsza...

Na środku pokoju pianino jeszcze otwarte, kilka róż zwiedłych na stoliku. Na ścianie jeden jedyny obraz, portret rudej kobiety w białej sukni, głęboko wyciętej; czarne oczy spoglądały zamyślane, jakby smutne.

Niemiec wskazał głową na portret.

— To dla niej wice-admirał willę zbudował; umarła z tęsknoty; nie z naszego kraju była, a obcym tu smutno.

— Nawet z wice-admirałem?

— Hm, widocznie nie służyła we flocie — odrzekł z chytrym uśmiechem.

Zabrałem zwiedłe róże ze stolika i wyszedłem. Zdawało mi się, że unoszę pamiątkę, która nie powinna się dostać w ręce profanów. Kto wie, kto tu jutro zamieszka?

III.

— Grywasz w winta?

— Nie.

— Wint zamało ryzykowny dla dekadentów, dostarcza zamało wzruszeń.

— Tego nie powiem, znam takich, co w winta przegrali tysiące.

— I z takimi to pewno grywasz? Silne wrażenie postawić na kartę swoją i żony swojej fortuny?

— Nie mam ani fortuny, ani żony.

— Wiem, wiem, wy dziś od ożenku uciekacie, jak dyabeł od święconej wody. Wolna miłość... kochanki...

— Od fortuny wcale nie uciekam, a pomimo to jej nie mam.

— Ale od pracy uciekasz. Kto dziś z was pracuje? Każdy tylko zysków szuka jaknajwiększych, brnie w długi i używa.

— Ćudze najłatwiej wydawać.

— Zarty, wiekuiste żarty was się trzymają. Leczysz się tu?

— Nie; latem zwykle wałęsam się po świecie.

— Zadużo masz pieniędzy?

— A pan profesor nigdy nie podróżował dla rozrywki?

Skrzywił się, jakgdyby mu kto na odcisk nastąpił.

— Za moich czasów pyzyjemnością nazywało się spełnianie obowiązków, życie rodzinne.

— Winta nie znali jeszcze?

— Godziwe rozrywki zawsze były, ale i umiarkowanie było, którego wy dziś nie znacie.

Zapalił podłe cygaro, nastroszony, jak chory jastrząb, patrzył z podełba na morze.

Nic się nie zmienił przez lat dwadzieścia. Zawsze zgryźliwy, gderający pesymista.

Stary pedagog, a nawet pedagog wogóle, to bodaj najsmutniejszy okaz inteligenta. Suchy, ciasny umysł. śmieszny pedantyzm, a w żyłach żółć, która im ostatecznie ciężkie życie zatruwa.

Mają przytem nieuleczalny żal do ludzi zato, że rosną i dojrzewają, że ich wiekuiście, jak smyków, traktować nie można.

Neron ubolewał jakoby, że cała ludzkość nie posiada jednej głowy, którąby mógł ściąć w razie potrzeby, stary pedagog żałuje, że świat cały nie posiada w jednym egzemplarzu innej części ciała, którą można byłoby ćwiczyć różgami od czasu do czasu, chociażby bez żadnej potrzeby.

Typowym okazem tego rodzaju był Kudziński, stary pedagog, matematyk w dodatku, zgryźliwy mruk, który w braku innych powodów, gryzł się tem, że... w Japonii mięso podróżowało.

Postarzał, ale nie bardzo; zawsze też sama szeroko pargaminowa twarz, siwe oczy, patrzące ponuro z pod brwi ściągniętych, siwy zarost, krótko ostrzyżony; zawsze chmurny, zły, opryskliwy — istna stara pokrzywa.

Już miałem pożegnać „szanownego profesora” ze szczerym zamiarem wymijania go zdaleka przy spotkaniu, gdy na deptaku ukazała się pani profesorowa z Marynią i mój tajemniczy nieznajomy piękny brunet, w białej flaneli, w białym kapeluszu, ale bez psa i bez „niej.”

Stałem u profesora na stancyi przez lat kilka, panią profesorową znałem jako uroczą blondynkę,

a Maniusię, jako śliczną dziewczeczkę, bardzo grzeczną, zawsze uśmiechniętą i zawsze milczącą.

Pani roztyła się, ale wyglądała jeszcze pęknętnie w jasno-lila sukni, w białej kapotce i brylantowych kolczykach; Marynia wyrosła na elegancką panienkę — wysmukła, zgrabna, świeża twarzyczka, ciemne oczy; spokojna, uśmiechnięta, jak dawniej, i zapewne, jak dawniej, milcząca. W perkalowej, niebieskiej sukience, opasana skórzanym, żółtym paskiem, w białej, muślinowej burce, szła, a raczej płynęła lekko, wpatrzona w przestrzeń, jak lalka na wystawie sklepowej, zdawała się nie widzieć pięknego pana, ani matki, która pochłaniała go wzrokiem, wabiła uprzejmym uśmiechem, właściwym tylko matkom, mającym córki na wydaniu.

Powitała mnie, jak starego znajomego. Ziomek za granicą, to jakby blizki krewny, tak utrzymywała pani profesorowa, rzucając przytem macierzyńsko-przyjacielskie spojrzenie na pana Rymana.

Świetny dżentelman ten Ryman, i przede wszystkim umiejący obracać się w świecie. Zauważyłem to z pozycyi, jaką zajął, gdy usiedliśmy wszyscy przy stoliku nad morzem. Przed sobą miał mrukliwego profesora i rozpromienione morze, obok elegancko harmonijną Marynię; przypominał, że z mym starszym bratem kolegował w szkole — a całym swym zachowaniem się, prostotą, szczerością, wesołością i serdecznym uśmiechem nawet starego pedagoga znośnym uczynił. Roztaczał dokoła siebie jakiś czar zdrowy i ujmujący zarazem. Profesor milczał, co było objawem wysokiej tolerancyi i pobłażliwości.

Mama rozplýwała się w ciasnym staniku, rozkoszny biust falował od wzruszenia i zachwytu —

ja śmiałem się z jego dowcipów, rad byłem, że go poznałem, a właściwie zdawało mi się, że witam w nim starego znajomego, dobrego towarzysza, z którym przeżyło się niejedną wesołą chwilę. Marynia, bardzo spokojna, nie mieszała się do rozmowy.

Ryman też zdawał się nie zwracać na nią szczególnej uwagi, a tylko gdy w ożywionej rozmowie przechylił się przez stół ku ojcu i mamie, dostrzegłem, jak rękę na jej rączce położył, wysunął ostrożnie czerwony gwoździk z jej paluszków, podniósł do ust i ukrył w swych ślicznych, czarnych wąsach. Na nią nie spojrzał—pochłonięty całkowicie rozmową z rodzicami.

Dowiedziałem się z rozmowy, że się zapoznali przed paru tygodniami, podczas mojej wycieczki na Heringsdorf, Misdori i Rugę; zbliżył się tem łatwiej, że Ryman, jak wielu innych, miał niegdyś nieszczęście być uczniem zgryźliwego profesora.

Zachowanie się jego, serdeczna, niemal pokorna uprzejmość dla rodziców, dawały wiele do myślenia.

Przysiadłem się do Maryni i zacząłem z nią rozmawiać o morzu, wycieczkach, o obiadach, o krajobrazach, o muzyce, o towarzystwie i różnych plotkach, krążących na promenadzie.

Spokój, umiarkowanie, rozsądek, godne podziwu! Mówiła równym, miękkim głosem, nie umiała, czy nie chciała się unosić; morze było piękne, towarzystwo przyjemne, obiady dobre, muzyka miła, wycieczki pożądane i t. d.

Wyrażała się poprawnie, jasno i treściwie, słuchała uważnie, na każde gorętsze słowo odpowiadała pobłażliwym uśmiechem.

Ani drgnęła przez cały czas rozmowy — posąg

w niebieskiej sukience i białej budce nie mógłby się zachować spokojniej.

Słowa wyrzucała z siebie, jak automat — sztuka, a raczej mechanika z czasem będzie wytwarzała takie panny na obstalunek — cnotliwe, rozsądne i eleganckie; bez nerwów, bez krwi, a nawet bez żółci tymczasem!

— Coście tam tak długo z sobą mówili?—zapytał Ryman, gdyśmy w końcu pożegnali profesorstwo i Marynię.

Nie czekając odpowiedzi, zaczął się wypytywać o mego brata, a ja przyglądałem mu się uważnie.

Miał już około czterdziestki, sporo siwych włosów w czarnej czuprynie — ale twarz, cera, ruchy i żywość młodzieńczą.

Skarżył się, że czas darmo traci, bezczynność przymusowa nuży go i denerwuje.

Drugi miesiąc siedzi już w Berlinie z powodu interesów rodzinnych, tu wpada tylko na kilka dni, żeby się rozerwać, odetchnąć i zapomnieć na chwilę o krewnych Prusakach, którzy mu już kością w gardle stoją.

Był właścicielem cukrowni pod Warszawą, którą sam zarządzał. Słyszałem już o jego niezwykłej energii i prawości, a teraz gotów byłem we wszelkie jego cnoty uwierzyć.

— Dyabli mnie biorą, gdy pomyślę, co się tam dzieje w fabryce w czasie mojej nieobecności!

— Skąpy dwa razy traci! Gdybyś pan miał porządnego dyrektora, siedziałbyś tu spokojnie i używałbyś darów losu w błogiem upojeniu.

— Dyrektor? Nie znasz pan spraw fabrycznych widocznie. Przez sześć lat za życia ojca przy-

glądałem się rządowi dyrektorów. Milczałem, bo za krytykę ojciec smagał szpicrutą po twarzy — tak! Przez sześć lat pary z ust nie wypuściłem, ale zato po śmierci ojca, zanim zdążyłem włożyć żałobę, wypędziłem już dyrektora. Pośrednik między robotnikiem a pracodawcą, to najzaciętszy wróg zwykłej codziennej sprawiedliwości, a co gorsza, że dotąd nie spotkałem wyjątków! Dziesięć lat pracuję jak wyrobnik, dywidendy nie podniosłem, co prawda, ale zato, zdaje mi się, że każdy mój robotnik podałyby mi rękę bez wstępu.

Roześmiał się i zmienił temat rozmowy, jak gdyby się bał, żebym go o przechwałki nie posądził.

W Berlinie pilnował działów familijnych. Blizki krewny zmarł bez testamentu, majątek znaczny, ale i spadkobierców sporo. Powikłania niezmiernie subtelne. Adwokat wytoczyłby proces. On chciałby tego uniknąć, chociaż zaczyna wątpić, czy sprawa da się zakończyć polubownie.

— Dziwni ludzie! Uczciwi niby, honorowi, wzdragają się na sam wyraz „łapówka,” a każdy tylko w rękę patrzy, wyczekuje ustępstwa, podarku w jakiejkolwiek formie! Niezadowolony zwleka i, jak geszefciarz na giełdzie, tak on gra na słabościach ludzkich! Możesz mu pan wymyślać, grozić, nalegać, bylebyś tylko wyraźnie w twarz nie plunął, to resztę schowa do kieszeni i dalej z flegmą na zwłocę spekulować będzie. Wiedzą, że czasu nie mam, że o groszowe sprawy nie dbam, otóż oni na te grosze czyhają. O kapitał sporu nie ma, ale sprzęty, drobiazgi, procenty, drobne zaległości, tego wypuścić z rąk nie chcą, to jest ten „drobny prezent,” który się im oszczędnym, rozsądnym, systematycznym, od lekkoducha-kuzyna należy. Dziś już

lekceważą mnie w duszy, a gdy na ich milczące wymagania przystanę, nazwą mnie osłem i schowają do kieszeni. Lichwiarz nie wyżyłuje swej ofiary z większą skrupulatnością, jak owi ucziwi i honorowi krewni mnie wyżyłować pragną! Widzę to, rozumiem i wściekam się w duszy, widząc, że system ich zwyciężać zaczyna! Dotąd trzymam się jakotako, ale w końcu — oddam sprawę adwokatowi i bierz ich licho! Z całej tej zgrai ja jeden mam skrupuły rodzinne, rozumieją to i na tę bodaj głupią słabość najbardziej liczą. Niechże przynajmniej mają miłą niespodziankę. Podłe Niemcy!

— Ależ przynajmniej odbierając spadek po krewnym Prusaku, nie powinienes pan tak Niemcom wymyślać.

— Masz pan rację! Zresztą niewdzięczność jest cechą mego charakteru!

Przestał się śmiać, zapalił cygaro i szedł dalej w milczeniu.

Spochmnrniał nagle; gryzł cygaro, przeżuając jednocześnie niemiłe myśli.

Chciałem go pożegnać; ujął mnie spiesznie pod ramię, jakby się obawiał zostać sam na sam z myślami.

Poszliśmy razem na obiad, następnie zaciągnął mnie prawie gwałtem na łódkę. Wsiadliśmy w tem samem miejscu, gdzie przed kilku tygodniami widziałem go z tą śliczną kobietą.

Wydał mi się starszy i poważniejszy, niż zrana; nasunął kapelusz na oczy i milczał; a gdy płynęliśmy wzdłuż promenady, odwrócił głowę od snujących się postaci kobiecych—patrzył na morze zamysłony.

Dopiero, gdy łódka oddaliła się od brzegu, odetchnął swobodniej.

Fale wskakiwały do łodzi, osypując nas białą pianą.

— Boisz się pan?—szepnął.

Przymknął oczy, jakby się lubował niebezpieczeństwem.

Wyznałem, że nie lubię pływać po wzburzonym morzu.

Kazał zawrócić łódkę.

— Szczęśliwy człowiek z pana, skoro jeszcze boisz się śmierci? Dekadencki frazes, co? To tak podle usposabiają mnie te Niemki na brzegu! Chciałbym od nich o sto mil uciec. A pan wolisz Niemki, niż śmierć w falach—no, to wysiadaj!

Wysadził mnie na brzeg, uchylił kapelusz i odpłynął na morze.

Tak się to czasem od wczorajszego szczęścia ucieka!

W parę godzin potem spotkałem go na koncercie.

Siedział sam jeden pod drzewem na tej samej ławeczce, gdzie zrana siedzieliśmy z Kudzińskim.

Głośny szwargot niemiecki głużył dźwięki marnej orkiestry; na deptaku, gdzie od biedy trzysta osób pomieścić się mogło, nie następując sobie na odciski, tłoczyło się około trzech tysięcy! Tłok, kurz, gwar, snujące się bez przerwy setki osób obcych, szablonowych, cały ten tłum pretensjonalny, a taki szary i bezbarwny—mogły zohydzić życie każdemu wrażliwemu osobnikowi.

Ryman siedział pochylony, kreśląc laską na piasku kółka i kreski; w butonierce miał czerwony gwoździk Maryni.

Czekał na nią.

Kudzińska wyprowadzała codzień córkę na targowisko poobiednie; koncert uważały obie za jedyną przyjemną chwilę w monotonnem życiu nad morzem.

— Widzisz pan, wróciłem zdrów i cały! Nie ma, jak morze! Utopiłem trochę przykrych myśli po drodze!

— Topielcy straszą czasami.

— Tymczasem wołałbym, żeby żywi więcej dbali o mnie.

Spojrzał na zegarek. Kudzińscy spóźniali się straszliwie.

Słońce zaczynało zachodzić; czerwona luna ozłociła powierzchnię morza. Jest to jedyna chwila dnia, w której piwosze podnoszą głowy z ponad kufli i spoglądają na świat Boży.

Znaczna część publiczności odeszła na szteg, zkąd widok był rozleglejszy i szersze pole do zachwytu.

Zdaleka ujrzałem nadchodzące Kudzińskie; Marynia w tej samej niebieskiej sukience i białej budce; za to mama, strojna w brylanty i bransolety, wyświeżona i uśmiechnięta, łączyła w sobie elegancję, szyk i takt dobrze wychowanej matki.

— Spóźniłyśmy się na zachód słońca — zawołała, stając plecami do „czarującego“ zachodu, a twarzą do nas. Wszystkiemu Marynia winna, robiła papierosy dla ojca i zanim skończyła ostatniego, nie mogłam jej z domu wyciągnąć! Obowiązkowa nawet w drobiazgach!

Pochwały tej wysłuchałem ja jeden; Marynia stała obok Rymana o kilka kroków od nas. Ryman przekreślił dla niej lornetkę, żeby się lepiej zachodowi przyjrzeć mogła; rozmawiali z sobą półgłosem. Kudzińska pociągnęła mnie na ławeczkę.

— Zlituj się, panie Karolu, powiedz, tak jak jesteś uczciwym człowiekiem, a naszym szczerym przyjacielem — szeptała stłumionym od wzruszenia głosem, pokazując na Rymana i córkę, którzy, pochyleni ku sobie, spoglądali kolejno w lornetkę — czy ten Ryman to jest ten sam, co ma cukrownię pod Warszawą, bogacz, bez braci, bez sióstr?

— Ten sam!

— Ach Boże wielki i sprawiedliwy!

Tchu jej zabrakło, mięła w rękę chusteczkę, wpatrzona w piękną parę.

— Ona ma szczęście, ona ma szalone szczęście do świetnych partyj—szeptała, kompletnie upojona swemi myślami.

Marynia i Ryman zaproponowali, żeby usiąść przy rampie, bliżej morza i bliżej tłumów, snujących się nad brzegiem.

Panie jadły lody, myśmy pili mazagran przez słomki; a gdy się przysiadło do nas jeszcze parę osób, w mgnieniu oka wytworzyła się atmosfera warszawskiego saloniku z Hożej lub Żórawiej ulicy.

Rymanowi dobrze było w tej atmosferze błahych frazesów i płaskiego dowcipu; zapatrzony w Marynię, mówił o pogodzie, o kąpielach, porównywał różne miejscowości nadmorskie; rozmowa szła gładko, bez wysiłku myśli, a może nawet wcale bez myśli!

Ten człowiek taki energiczny, dzielny, co przed godziną jeszcze wykladał mi jasno i rozumnie jedną z najzawilszych kwestyj społecznych, w którego mózgu fermentowały rozległe plany, zmiękł, zmalął dziwnie, umysł swój niezwykle rozmienił na drobną monetę, żeby mieć czem płacić za liczmany mieszkańskiego flirtu. Wypoczywał w błogiej bezmyśl-



ności, hipnotyzując przymkniętymi oczyma elegancką Marynię. Jej bierny spokój, małomówność, szablonowy uśmiech, wystarczały całkowicie jego spokojnemu sercu; wdzięcznym jej był zato, że tak małym wysiłkiem woli i uczucia zdobył ją i przywiązał do siebie; na nic więcej zdobyć się nie mógł; przy swej ruchliwej, wyczerpującej pracy potrzebował wiernego przywiązania i harmonijnej powierzchowności. Nie zdawał sobie sprawy z tego uczucia, ale przekomarzając się z Marynią, w czach miał tyle błęgiego zadowolenia, jakby mu nic już do szczęścia nie brakowało!

Tłum widzów wracał ze sztegu, schodząc z wolna ze schodów na brzeg morza, przed nimi defilowały pary jedna za drugą, mężczyźni prawie wszyscy oglądali się na zgrabną figurę Maryni.

— Jaka śliczna kobieta! — zawołała z niezwykłym ożywieniem — patrz pan, tu przed nami!

Podniósł głowę, szukał wzrokiem wskazanej piękności. Skrzywił się przytem, jakby żałował przerwanej rozmowy.

O parę kroków przed nimi stała „ona“; obrzuciła wzrokiem Marynię i Rymana, obejrzała się na czerwoną lunę na zachodzie i odeszła z wolna w stronę parku... sama jedna.

Ryman cofnął się, jak zwierzaniony, brwi ściągnął, w oczach błysnął gniew i niepokój.

Marynia, pochylona przez rampę, patrzyła za odchodzącą.

— Kto to jest? — spytała, wciąż patrząc za idącą z wolna śliczną kobietę.

Ryman milczał. Obejrzała się na niego przez ramię:

— Pan jej nie zna?

— Nie znam — wyszeptał.

Wziął szklanę ze stołu i zaczął pić mazagran, który mu jakoś z trudnością przez gardło przechodził.

— Śliczna! — powtórzyła raz jeszcze Marynia, wracając do swego szablonowego spokoju.

Wyprostowana, z rękami na kolanach, w białej budce na zgrabnej głowie, była typem skromnej, a zarazem dobrze wychowanej panienki.

— Pani stokroć od niej piękniejsza! — szepnął Ryman, ochłonawszy z niemiłego wrażenia — i lepsza...

— Zkąd pan wie, że jestem dobra?

— Młodość ma przywilej dobroci, a pani jeszcze taka młoda.

Rozmowa stawała się coraz banalniejszą, szczególnie, gdy do naszego stolika przysiadły się jeszcze dwie mamy z dwiema córkami na wydaniu.

Mówiono dużo o jedzeniu, narzekano na nudy, wzdychano do Warszawki, a jednocześnie, zarówno mamy, jak panienki, bardzo uważnie oglądały Rymana, który naraz stracił chęć do rozmowy; zamyślił się, raz po raz na morze spoglądał, jakby się obawiał powtórnego pojawienia się topielca!

— Przejdźmy się — rzekł do Maryni.

— Mama chodzić nie lubi — odrzekła, nie domyślając się niby, że mu głównie o sam na sam z nią chodzi.

Ten brak skwapliwości w okazywaniu sympatii podobał mu się widocznie; zapomniał o widnie, ożywił się, a nie zważając na ciekawe spojrzenia pań i panienek, zajął się całkowicie Marynią.

— Śliczne dziewczę! — rzekł do mnie, gdyśmy do domu wracali.

— Taka sobie, przeciętna panienczka.

— A mnie się zdaje, że takiej kobiety niejednego przez całe życie szuka napróżno.

— Chyba szukać nie umie. Nie lubię kobiet bez temperamentu.

— Widocznie masz pan dużo zbywającego czasu i cierpliwości! Co do mnie, przedewszystkiem cenię swój spokój i swobodę, w miłości wyżej stawiam świeżość, niż siłę.

— Taki gust wymaga częstej zmiany i stać pana na to. A gdy przypadkiem znajdziesz się w położeniu araba, który na pustyni znalazł brylanty, pewno żałujesz, że to nie kasza?

Nie mogłem mu darować, że się wyparł jej znajomości, dokuczałem mu jak mogłem.

Ale Ryman zanadto był dobrze usposobiony, żeby zrozumieć moją złośliwość.

— Wszyscyśmy tylko zjadacze kaszy—odrzekł wesoło.

— I łgarze?

Spojrzał mi bystro w oczy. Przeszliśmy kilka kroków w milczeniu do miejsca, gdzie ścieżka zbiegała z promenadą ku morzu. Ryman zawrócił i w kilku susach był nad brzegiem...

Długi czas widziałem jego biały kapelusz w szarym mroku. Szedł spiesznie pustem wybrzeżem.

Może po raz ostatni zbudziłem w nim sumienie bez żadnej potrzeby.

Wróciłem do domu zły na siebie za dobrowolne zdradzenie incognita. Przekonałem się bowiem, po raz setny, że absolutny obiektywizm niemożliwym jest nawet u turystów.

Rozbierałem się pociemku przed otwartym oknem.

W ogródku, na świeżo skoszonem sianie leżało dwóch żołnierzy; byli to moi sąsiedzi z suterren. Jeden skurczył się we dwoje, drzemał, przykryty kilimkiem; drugi, wyciągnięty na wznak, z rękami pod głową, wyśpiewywał oberka:

„Świr, świr, świr, za kominem,
Tańczy mazur ze swym synem,
A mazurka ze swą córką,
Przygląda się jemu dziurką.”

Licho go wie, co mu ta piosnka przypominała! Skończył i znowu zaczynał też samą zwrotkę raz, drugi, trzeci, upojony swojską nutą, o bożym świecie zapomniał!

— *Ruhig, du polnisches Vieh!* — huknął towarzysz, nie podnosząc głowy.

I Bartek huknął, ale kolaniem w grzbiet, aż echo odezwało się w krzakach. Śpiewał dalej, tylko trochę głośniej. Prusak podniósł głowę, wyprostował szerokie bary... Wychyliłem się przez okno: scena zaczynała nie interesować.

— *Uh, gut' Nacht!* — mruknął Prusak, odsunął się o kilka kroków, żeby go kolano nie mogło dosięgnąć, skurczył się i—zasnął.

A Bartek, dla odmiany, zaczął gwizdać:

„Świr, świr, świr, za kominem“ i t. d.

Z nieba spoglądały na niego też same gwiazdy, które gdzieś tam i nad jego wioską rodzinną świeciły.

Nazajutrz wyjeżdżali Kudzińscy; przyrzekłem Maryni, że przyjdę pożegnać ją na dworcu.

Dzień był chłodny, słoneczny; zagapiłem się

na wzburzone morze tak dalece, że o mało nie zapomniałem o pożegnaniu. Przybiegłem na dworzec jeszcze przed pierwszym dzwonkiem, ale Kudziński stał już w oknie wagonu, czerwony z gniewu, machał rękami, wołał na córkę, wymyślał mnie, siadał, wstawał, jak w gorączce, w końcu wychylił się z okna i krzyknął na cały peron:

— Siadajcie, do licha! Pociąg rusza! ogłuchły! jak honor kochan!

Wytrzeszczył na nas swe zjadliwe oczy; poruszał dolną szczęką, przeżuwając gniew bezsilny.

Kudzińska i Marynia rozmawiały z Rymanem.

Marynia w popielatym kostyumie, w słomkowym kapeluszu, sztywna i elegancka, jak zwykle, wachała pyszny bukiet, więcej kwiatami, niż Rymanem zajęta.

Zato on jaśniał zadowoleniem za nią i za siebie. Śmiał się, żartował, wpatrywał się w ładne, spokojne oczy; pragnął ją ożywić, rozśmieszyć, przełać w nią część swej żywotnej, energicznej duszy. Napróżno! Pozostała nieruchoma w swym obojętnym spokoju, który doskonale pasował do bladawej cery i klasycznych linii całej postawy.

Ujrzawszy mnie, Ryman ucieszył się, jak do najlepszego przyjaciela:

— Dobry duch pana tu przysłał! — zawołał z serdecznym uśmiechem, którym najzaciętszego wroga rozbroić potrafił.

— Czy pani mnie przyjmie do swego wagonu?—spytał błagalnie pokornym głosem.

Nagle postanowienie wspólnej podróży nie zdziwiło i nie ucieszyło ładnej Maryni, zajętej bukietem.

— Pan z nami jedzie?

— Jeżeli pani pozwoli.

Spojrzała na matkę, której groził atak apopleksyi ze zbytku szczęścia. Ryman zdecydował się widocznie w mgnieniu oka i odrazu był gotów do drogi.

— Wstąp pan do hotelu — rzekł do mnie — i każ wysłać moje rzeczy do Monopolu.

I znowu do Maryni się zwrócił:

— Pani zawdzięczam jeden dzień życia, który miałem tu zmarnować bez żadnej potrzeby! Bo i cóżbym tu robił do jutra? Wysiadywałbym chyba na tych ławeczkach, gdzie pani ze mną rozmawiać nie chciała! To już wolę słuchać milczenia pani w wagonie.

Stary Kudziński doczekał się nareszcie pierwszego dzwonka.

— Stasiu! Maryniu! — wrzasnął raz jeszcze rozpaczliwym głosem.

Obie kobiety pośpieszyły do wagonu; za niemi wskoczył Ryman; z okna przesłał mi ukłon białym kapeluszem.

— Pamiętaj pan o moim kufrze! — zawołał na odjeźdźnem.

Przechodząc przez salę pierwszej klasy, ujrzałem kobietę, stojącą w otwartym oknie; twarzy dostrzedz nie mogłem, ze wzrostu jednak, z figury, poznałem moją nieznajomą. Stała nieruchoma, wpatrzona w błyszczące na słońcu relsy, po których przed chwilą przesunął się pociąg...

Nad jej główką powiewały zcicha zwieszające się gałązki dzikiego wina... Czekałem, aż się obejrzy.

W sali było pusto — pod kanapą, zasunięty pod samą ścianę, leżał ponter — ujrawszy mnie,

zmrużył błyszczące oczy, wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu i warknął groźnie.

Nieznajoma drgnęła, przebudzona z zadumy.

Z ramion jej zsunął się czarny koronkowy szal i upadł na ziemię.

Podniosłem go i położyłem przy niej na krześle.

Obejrzała się na mnie; twarz miała wychudłą, usta spieczone, w oczach ból i przerażenie; taki wzrok musi mieć człowiek, który przed chwilą śmierć njrzał.

Cofnąłem się zakłopotany. Wstyd mi było mej ciekawości i natręstwa.

— Sama się zajmę wysłaniem rzeczy... pana Rymana—rzekła stłumionym głosem—niech się pan nie trudzi...

I znowu zwróciła oczy na relsy, błyszczące w słońcu!

Odszedłem...

I tak już zbyt głęboko zajrzałem do duszy niešťczęśliwej kobiety!

IV.

W tym roku znowu los mnie zapędził do Kołobrzegu.

Gdy stanąłem nad morzem, zdawało mi się, że nie trzy lata, lecz chyba trzy krótkie chwile przeleciały od ostatniej mojej tu bytności!

Toż samo morze ciemno-szafirowe, toż samo piaszczyste wybrzeże i ludzie prawie ciż sami — obcy,

bez żadnych cech wybitnych, któreby zachęciły do przyjrzenia się uważniej różnobarwnemu tłumowi.

Na tle szarego tłumu oryginalnie wyglądał mój towarzysz podróży, malarz Hincza. Wysoki, barczysty, nieco pochylony, głowę miał dużą, szeroką śniadą twarz bez zarostu, oczy szare spoglądały dokoła z roztargnieniem; w zębach wciąż trzymał krótką fajeczkę, którą z jednego końca ust w drugi machinalnie przesuwiał. Nosił szarą marynarkę na szarej trykotowej koszuli, czerwony pas i szary filcowy kapelusz, nasunięty na oczy. Olbrzym ten cichy był i łagodny, jak dziecko; mówił zcichą urywanemi zdania; słuchać nie lubił; wiecznie roztargniony, z rękami w kieszeniach i fajeczką w zębach, szedł środkiem promenady, bożego świata nie widząc przed sobą.

W parę dni po przyjeździe był już osobliwością sezonu; pokazywano go sobie, wymieniano nazwisko, oglądano się za nim; miał swoją ławkę, do której, gdy się zbliżał, ustępowali mu nawet Niemcy, którzy nigdy, nigdzie, nikomu nie ustępują. Siedział zasapany, z fajeczką w zębach, patrzył całemi godzinami na morze.

Czasami budził się w nim artysta: przyglądał się przechodniom ze złośliwym uśmiechem.

— I ja to malowałem niegdyś! — opowiadał, wskazując głową na przechodzące kobiety — dama z różą, dama bez róży... dama, wachająca różę!...

Śmiał się cichym, ochryłym głosem.

— Damy były moją specjalnością! ciało i włosy!... oczy zawsze głupie i lubieżne... cha, cha!.. To war szedł!... Piękne ciała znajdują zawsze nabywców! Rosło to pod pędzlem! Żywe wylaniały się z obrazów... Patrzyły na mnie ohydniemi oczami! Oddech, ch czułem... żar tych ciał palił mnie czasami, jak

ogniem! Piękne kobiety z różą lub bez róży... Portrety, studia... a zawsze żywe ciało... arcydzieła!... Cha, cha!...

Uciekłem z pracowni, nie dokończywszy setnego z kolei arcydzieła! Poszedłem w góry, jak najdalej, jak najwyżej od tych ciał żywych... Opowiadano sobie, że zwaryował! Ostrożnie, zdaleka zapytywano, co teraz robić zamierzam? A tymczasem handlarze podnieśli cenę moich „arcydzieł”, nawet ta, zaledwie podmalowana, znalazła nabywcę... Umarłem dla sztuki... Drwią grzecznie z moich pejzaży... szydzą z martwej natury, i mają rację... to nie mój rodzaj... nawet twarze z odcieniem duszy — to nie mój rodzaj! Onegdaj tu naszkicowałem starego rybaka . żyje — sam to widzę!... ale tem martwym życiem, które zdumiewa w oryginale — stary jak z kamienia wykuty — skopiowałem go wiernie. Ale gdy spojrzałem w twarz jego córki — uciekłem. Przez jej oczy śmierć patrzy... Duszy pochwycić nie umiem, i nie trzeba... po co? są inni od tego! A jednak twarz tej dziewczyny... Za taką twarz, na płótnie oddałbym wszystkie damy bez róż i z różami!

Opowiedziałem mu romantyczną historię córki rybaka.

Patrzył na mnie z pod nasuniętego na oczy kapelusza; osowiały jakiś, wyjął z ust fajkę i do kieszeni schował.

— Biedna—szepnął w końcu.

Naraz zżymnął się, oczy błysnęły mu gniewnie...

— Głupstwo wierutne! — zawołał z zaciętością. — Cała ta miłosna historia głupstwo, banialuki... Zkąd tam, tego... takie uczucia! Eh, ścierwy, bestye... i basta! Może tamte moje wyroby... to je-

szcze najlepsze z całego gatunku... Egzaltowane samice, to... to potwory... Tfu!

Wargi mu drgały; słów odpowiednich zabrakło — zamilkł, ale uspokoić się nie mógł — chrapał, jak zwierz zdławiony.

Przyglądałem mu się, jak się uspokajał z wolna. Przesunął ręką po czole, odetchnął z całych piersi i pochylił głowę. Siedział nieruchomy, zatopiony w niewesołych myślach.

Chciałem wstać z ławki, położył dłoń na moim kolanie—zostałem.

Niegdyś w ogrodzie zoologicznym odwiedzałem chorego słonia: ogromny zwierz leżał nieruchomy z przymkniętymi oczyma, wzdychał od czasu do czasu. Gdy się zbliżałem, zanim wziął jabłko lub piernik, patrzył na mnie długo, spokojnie, może myślał o mnie, może tęsknił!

Odrobina współczucia nawet potentatom przydać się może.

Hincza przypomniał mi owego słonia... Sławny bogaty potentat w swoim rodzaju, przeżywał, jak ów słoń, jakąś ciężką chorobę; tamten mówić nie umiał, ten nie chciał.

— Powinienem ztąd wyjechać dziś jeszcze — mruknął. — Powinienem był uciec odrazu. Nie mam siły. Ot, na co przyszło — ja nie mam siły!...

Siedzieliśmy obok siebie na ławce. Hincza namyślał się nad czemś, widziałem, jak spoglądał na mnie zukosa, gryzł wargi, ale do słowa przyjść nie mógł.

Spacerujący snuli się przed nami nieskończonym szeregiem.

Zdaleka ujrzałem jakąś elegancką staruszkę w czarnych koronkach, z siwemi loczkami dokoła czoła i twarzy, podpierała się laską, drugą rękę wsparła na ramieniu bardzo szczupłej, czarno ubranej kobiety.

Staruszka witała z uśmiechem znajomych, kłaniała się na prawo i na lewo, była ożywiona, wesoła, pomimo chorych nóg, które stawiała z widoczną trudnością; opierała się całym ciężarem swej korpulentnej figury na ramieniu swej wątłej, jak cień, towarzyszki.

Szły bardzo wolno.

Młoda kobieta zacisnęła usta, oczy przymknęła przed blaskiem słońca. Szła sztywna, wyprostowana, jak automat.

Rysy miała delikatne, woskową cerę i suchotnicze wypieki na policzkach.

Mijając nas, podniosła powieki. Szare, głęboko zapadnięte oczy z czarnemi rzęsami przypomniały mi.

— To ona! ta prześliczna przed trzema laty kobieta! dziś mumia.

Resztki gasnącego życia kryły się pod powieką w zamglonych szarych oczach.

Uchyliłem kapelusza. Nie spostrzegła mego ukłonu, przeszła z wolna, uginając się pod ręką staruszki.

— Dawno pan znasz moją żonę?— spytał mnie Hincza tak spokojnie, jakgdybyśmy już nie raz o niej rozmawiali.

Nie mogłem się zdobyć na odpowiedź.

Nakładał tytoń do fajeczki drżącemi rękami.

mi; zapalił, nie smakowała mu, splunął kilkakrotnie.

— Cygara mają niezłe, a tytoń podły — rzekł swym cichym, ochrypłym głosem — a ja tak się do fajki przyzwyczaiłem! pan nie palisz? dlaczego?

Unikał mego wzroku, spoglądał na przechodniów, na morze, w końcu zerwał się z ławki, jak młokos, i odszedł bez pożegnania.

Nie spotkałem go przez parę dni, byłem pewny, że uciekł z miasta.

Trzeciego dnia o zmroku poszedłem w stronę jego mieszkania. Zajmował ładną, odosobnioną willę, z widokiem na morze. Służący oznajmił, że pan chory, trzeci dzień już nie wychodzi z mieszkania.

Zapukałem do drzwi ostrożnie i długą chwilę czekałem na odpowiedź.

Namyślał się zapewne; dumna, skryta natura nie chciała ustąpić odrazu!

Prócz mnie, nie znał tu nikogo.

Usłyszałem ciężkie stąpanie, otworzył drzwi z klucza i wpuścił mnie do pokoju.

Uścisnęliśmy się za ręce.

Hincza poszedł przedemną na balkon, usiadł w fotelu i wskazał mi miejsce obok siebie na krześle.

Milczał — słyszałem jego ciężki oddech i nie mogłem zdobyć się na pierwsze słowo.

Szary zmrok panował na balkonie; w ciszy słyhać było głuchy szum morza; na stoliku leżała zgasła fajeczka.

Zapytałem go o zdrowie.

Machnął ręką; wargi zadrżały, nie chciał zdradzać wzruszenia.

I znów zapanowało milczenie.

Nie żałowałem mego natręctwa. Przez trzy dni musiał dużo krwawych łez połknąć w samotności.

— Byłem u niej — rzekł stłumionym głosem, który doskonale się dostrajał do zmroku i szumu morza.—Biedna kobieta!

— Kochasz ją jeszcze?

Potrząsnął głową zwolna.

— Nie. Miłość nie zna litości. Wówczas, kiedym ją kochał, chciałem ją zabić... ją... jego... Piorun byłby litościwszy dla niej, niż ja... zakochany. W przekleństwach moich brakowało tylko jednego... nie przypuszczałem, że można ją opuścić, zapomnieć o niej, zostawić samą jedną, chorą. Dziś ona nieszczęśliwsza, niż ja byłem wówczas... Strasznie biedna! Dogorywa na łasce u obcych. Chciałem ją zabrać, wywieźć w góry bliżej słońca. Poszedłem do niej... spojrzeliśmy sobie w oczy i odrazu rozdzieliła nas przepaść, ponad którą nawet rąk ku sobie wyciągnąć nie byliśmy w stanie. Wszystko, co byłbym jej powiedział, wyglądałoby na wspaniałomyślne przebaczenie—aja... ja chciałem tylko być z nią teraz przez te kilka ostatnich miesięcy... Przyszedłem i nie potrafiłem jej tego powiedzieć!... Chciałem ją uspokoić, chciałem, żeby umierała bez zgryzot i wyrzutów. Przyszedłem i ból, drzemiący na dnie jej duszy, zbudził się na mój widok...

Niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia. Kobieta młoda, zdrowa, piękna, w przeciągu paru lat zrujnowana do szczętu! Huragan zmiażdżył ją, zniszczył i poszedł dalej szukać nowych ofiar. Jest chyba jakaś zewnętrzna siła, która popycha ludzi

ku sobie, oślepia, ogłusza, ogłupia i pierzcha, spełniwszy swoje zadanie! Taka uczeiwa natura, równa, spokojna! a jaki talent! Kwiaty rosły pod jej ręką! Stokroć gorsze od niej nie zachwiały się w cnoście ani na chwilę! Gdybym wówczas był tak spokojny, jak dziś, uratowałbym ją niechybnie, nie od uczucia, lecz od nieszczęścia. Ale zakochany nie umie być ani dobrym, ani sprawiedliwym... tylko osobistą krzywdę odczuwa! Zadne uczucie nie było powodem tylu zbrodni w imię sprawiedliwości i obowiązku, jak miłość!... Najpodlejszy gatunek egoizmu, przybrany w tęczone barwy poezyi!.. Wiesz pan, gdybym mógł taką twarz wymalować, jak jej twarz, roztrzaskałbym sobie łeb potem, z całą świadomością, że nie już na świecie do roboty mi nie pozostało! Nie miłość tak ją wyrzeźbiła, ale cierpienie — i z duszą jej tak samo być musi. Krótko z sobą rozmawialiśmy—żadnej wzmianki o przeszłości... Mówiła ze mną nie jak z sędzią lub pokrzywdzonym, lecz jak z człowiekiem, który dla nieszczęśliwych tylko litość mieć może. Tak, jak dawniej, nie okłamywała mnie ani przez jedną chwilę, tak teraz nie próbowała okazywać żalu bez skruchy. Wdzięczny jej byłem zato.

Dla nas obojga widocznie cierpienie to było koniecznem... Ją doprowadziło do kresu; może dusza czystsza i subtelniejsza dłuższych walk i cierpien nie potrzebuje — ze mną inna sprawa... Tymczasem czuję tylko, że jestem inny, że w dawniejszą skórę jużbym się nie zmieścił; co dalej będzie—zobaczymy! Ciekawa to chwila, kiedy człek zrywa z przeszłością. W sztuce już taką chwilę przeżyłem... dodam — z różą i bez róży już nie wrócę... Z duszą...

— Starzejemy się, panie!—zawołałem, żeby go od mistycznego bujania odciągnąć.

Wyprostował się w fotelu.

— Dlaczego pan nie palisz?—spytał—dym cygara niezmiernie usposabia do myślenia, ale często od mówienia powstrzymuje.

Podał mi cygaro.

Dr. FAUST.

OBRAZEK

Prawda, zmysłem się wierzyć nie powinno,
Lecz ostatecznie, gdzież masz pewność inną?

Bayron.

I.

Świece się dopalały — winciarze kończyli partycję.

Szczyście nie służyło Oberskiemu: w trzech robrach przegrał około trzystu rubli, w czwartym dwa razy został bez dwóch, a teraz ma w ręku same śmiecie i dwa walety!

Niepowodzenie gospodarza psuje humor grającym; gra idzie bez werwy, bardzo spokojnie.

Fificki, który prawie całą wygraną zagarnął, czuje się trochę zażenowanym; podczas szlema spomniał jak w łaźni i rozboleły go odciski; nie mógł przecież gry schować do kieszeni. Oborski to rozumie, a jednak, ile razy spojrzą na siebie, Fificki mimowoli spuszcza wzrok przed porcelanowemi oczyma gospodarza.

Jeżeli tak dalej potrwa, orznie go na jakieś pięćset rubli! Oborski sknera, chciwiec, przytem

wzorowy rolnik i zacięta bestya, długo mu nie zapomni przegranej! Teraz, gdy się ożeni z Pröttówną, będą sąsiadowali z sobą na wsi o miedzę i to od najsłabszej strony, bo od pastwiska. Biedne krowy, świnie i owce! W imię ich spokoju i bezpieczeństwa Fificki rad byłby całą wygraną przegrać do Oborskiego. A tu znów los wsunął mu w rękę dziewięć karo, dwa asy, króla i asa w przykupej!..

— Szczęśliwi narzeczeni, w karty grywać nie powinni! — Zartuje z Oborskiego, usiłując osłodzić mu drugiego szlema.

Oborski przegrywa z tym samym spokojem, z jakim na ostatnich wyścigach strzelił w łeb koniowi zato, że złamał nogę, zanim dobiegł do mety. Wie, że go nazywają „angielskim”, to też ma długą, czerwoną twarz, starannie ogoloną, rude bokobrody i skórzaną dewizkę; mówi zwolna, krótkimi zdaniami, a ruchy ma tak sztywne, jak każdy dystyngowany lokaj spanoszonego bankiera.

Ale nawet angielskie pozory mylą czasami, Oborski wścieka się i klnie w duszy, że siadł do kart z osłami, z których każdy jest dziesięć razy bogatszy od niego, każdy gra dla przyjemności jedynie, podczas gdy on chciałby i potrzebuje wygrać.

Dziwna rzecz! Od czasu, jak został „szczęśliwym” narzeczoną bogatej dziedziczki, szczęście opuściło go na wszystkich punktach.

Przesądny nie jest, zaczyna jednak wierzyć, że ta dzika kotka przyniesie mu nieszczęście... zaczyna się jej obawiać..

Już po pierwszym robrze, ot tak, niby żartem, wyrzucił jej fotografię z kieszeni, a od tej chwili

każda z czterech dam ma jej czarne, dzikie oczy i tajemniczo-drwiący uśmiech.

Karty denerwują go, od godziny leb mu trzeszczy z bólu, ręce drżą jak u pijaka. Wypił szklanke wody, drugiej wypić nie śmie, osły posadzają go o wzruszenie z powodu przegranej!

— *Eh bien*, co pan nam powie, panie sąsiedzie?

Wpatrzył się ponad kartami w zakłopotaną twarz Fifickiego.

Szlema przyjął z miłym zdumieniem; rzucał dalej kartę za kartą, panując z całych sił nad drżeniem ręki.

W gabinecie cisza. Gracze, znużeni już trochę, ziewają raz po raz, Fificki spogląda na zegar, jedenasta dochodzi, wcześniej! Ale on już trzecią noc spędza przy wincie!..

Oborski liczy mu ostatniego robra, pod koniec odgrywa się czasami; tak bywało dawniej, ale od czasu, jak się zaprzedał tej... zdechły mu dwa konie, pies wściekły pokąsał gończych.

— I zgrywam się jak szewc!—rozmyślał z zacisniętymi wargami—za dużo mam szczęścia w miłości!..

Oparł głowę na rękę.

Fificki kreślił i przekreślał rachunki, dwaj partnerzy obliczali swoją przegraną; on nie liczył, pamiętał każdy grosz... Czuł się strasznie znużony. Od dwóch tygodni siedzi w mieście, ekwipuje się przed ślubem. Wydał znacznie więcej niż zamierzał, a wszystko napróżno! Dziś otrzymał list od opiekuna narzeczonej z oznajmieniem, że ta dzika chce zostać po ślubie w Jaworzu.

— Chce.

Łatwiej zdmuchnąć piramidę, niż przełamać upór wiotkiej jak trzcina dziewczyny! Wyśnił się jej zapewne duch matki...

Usłyszała głos jakiś... albo miała jasnowidzenie!...

— Histeryczka!

Zacisnął pięść pod stołem.

W Jaworzu odwieczny niby-pałac, odwieczne sprzęty, szkapy, służba, głusz odwieczna, w której nawet w starego dyabła uwierzyć można!

Skoro on ma gnąć czas jakiś w tej głuszy, pocóż tyle wydał na meble, uprzęż i powozy?

Na szczęście, skorzystał z nieobecności doktora Fausta i stanął w jego mieszkaniu.

Drobnostka to, ale na drobnostki był stokroć wrażliwszy, niż na większe wydatki; zaoszczędził kilkanaście rubli. Zato sypia podle w tym pustym domu, gdzie jak duch pokutujący snuje się dziwak Struś, karmi ptaki i podlewa rośliny.

Obejrzał się na drzwi

W progu, na tle oświetlonego przedpokoju stał Struś, mały, szczupły, w czarnym ubraniu, w czerwonym fezie na głowie, z rękami w kieszeniach spodni.

Spoglądał to na obłok dymu nad głowami graczy, to na pyszne storczyki w wazie na oknie.

Podrzucił ramionami.

Otworzył jedno, potem drugie okno, wychylił się do ogrodu i splunął w ciemną przestrzeń. W gabinecie powiał świeży powiew jesiennego wieczoru.

Gracze niezadowoleni, obejrżeli się na otwarte okna, Fificki posunął ręką po spotniałem czole.

Oborski udał, że tego nie widzi, nie chciał wszczynać rozmowy z tym gburem, który na każdym

kroku dawał mu do zrozumienia, że zbyt się rozgospodarował w cudzem mieszkaniu.

Struś stał w otwartem oknie, wpatrzony w czarne wierzchołki drzew na gwiazdzistem niebie.

Faust może wrócić dziś, jutro, a tu dom cała przemienia w stajnię i skład tandety.

W sieni, w przedpokoju uprząż, w jadalni liberya, wszędzie potrochu garderoby i różnych rupieci! Pies i pan wysypiają się kolejno na wszystkich kanapach i łózkach. Tatarska poufałość oparta na jakimś tam pokrewieństwie.

Zatarł ręce ze złośliwym uśmiechem.

Wyrzuciłby go dziś jeszcze z podwójną przyjemnością, jako niechlujnego natręta i jako skończone bydło!

Ale jak?

Dziś dał mu do przeczytania ostatni list Fausta i patrzył w tę twarz czerwoną z rudemi bokobrodami.

Zeby chociaż cień ludzkiego uczucia...

Nie zrozumiał..

A on, on sam, co zna Fausta od dziecka, co patrzył na jego duszę bólem strzaskaną... on, czy go rozumie?

Podrzucił ramionami.

Miał przed sobą ciemną przestrzeń obszernego ogrodu, znał tu każdy krzew, każdą piędź ziemi, od kilku lat pracował tu jak prosty wyrobnik, patrzył i nie poznawał własnej roboty; drzewa wyglądały jak czarny wał dokoła parkanu, krzewy skarłały, wązka, piaszczysta ścieżka wiła się wśród fantastycznych klombów, kwiaty znikły w ciemności. Ogród wydał mu się jakoby inny, większy, głębszy, niż przy słońcu.

— Hm, może i Fausta znałem tylko z jednej strony, a głupoty dostrzedz nie umiałem.

Przez ten rok, kiedy Faust bawił w Paryżu, naczytał się o nim dziwolągów w różnych pismach. Najdyskretniejsze ubolewały nad zdolnym, ogólnie poważanym lekarzem, że się zabawia... w szarlata-
nizm. Przytaczano wyjątki z pism francuskich, w których Faust rozpisywał się o cudach magne-
tyzmu.

Streszczał seanse spirytystów, powtarzał śmia-
łe bajki dawno wyśmiane i ośmieszono, miał odwagę
dowodzić, że z tlejącej iskry wybuchnie z czasem
płomień wielkiej prawdy, która ludzkość na nowe,
szlachetniejsze tory zaprowadzi!

W artykułach, pisanych z namiętną zaciętością
o rzeczach niepojętych, nieuchwytnych, dających się
raczej odczuć niż zrozumieć, pojawiała się wiele
zdań sprzecznych na pozór, niezrozumiałych, dwu-
znacznych...

Chwytano w lot te „dziwolągi” i dostatecznie
ośmieszono odsyłało je pod adresem apostoła ab-
surdów!

Zawrzało jak w małym piekielku. Faust nie
bronił się, nie odpowiadał, lecz pisał tylko coraz
śmieiej o swej magnetycznej sile, stawał w obronie
zdemaskowanych oszustów, za pomocą pism wyszu-
kiwał medyów, a następnie ogłaszał takie dziwaczne
majaczenia, że nawet przychylni mu i pobłażliwi
doszli do przekonania, że zwaryował.

Struś znał jego szaloną ambycję.

W tem rzuceniu się na zdrowy rozsądek wi-
dział tylko zranionego tygrysa, który za pomocą
kłów i pazurów chce swoich przeciwników prze-
konać.

Pisywali do siebie często, zwykle o interesach;

drażliwej struny Struś nie dotykał; raz jeden nadmienił zdaleka, że mostów za sobą palić nie warto kiedy się ma zamiar żyć nadal we własnem społeczeństwie.

Na to mu Faust odpowiedział taką zjadliwą ironią, jak gdyby gromadka przeciwników i oszczerców zohydziła mu świat cały.

Do kraju wracać nie myślał, nie miał po co? Dom i ogród kazał sprzedać pierwszemu, kto do brze zapłaci.

Struś zamyślał się nad tym listem...

Przed rokiem, po śmierci jedyne go dziecka, Faust wypowiedział zamiar, o którym długo z sobą rozmawiali...

Chciał dom swój na szpitalik dla dzieci poświęcić. Chłopca swego uratować nie mógł, pogrzebał z nim wszystko, co miał dla siebie na świecie, może więc chociaż innych od największej niedoli uratować potrafi. W tym domu, gdzie jego chłopak ostatni raz uśmiechnął się do niego, tu do ostatniej chwili życia biedne chore dzieci pielęgnować będzie!..

Złamany, zboleły szukał ulgi w litości i poświęceniu, wierzył, że wielka boleść zabliznia się tylko pod wpływem wielkiej dobroci.

Co się z nim stało?

Struś zapytał go o to listownie, oznajmiając zarazem, że sprzedaż domu zająć się nie może.

List trafił widocznie na usposobienie spokojniejsze, Faust o sprzedaży nie wspominał, natomiast z widocznym żalem wymawiał, że mu dom sprofanował, że zakłócił spokój dusz, które tam od czasu do czasu wracać muszą, że chłopak jego skarży się na to i t. d.

Majaczenie to zakończył, oznajmiając, że sam przyjedzie, interesy załatwi, ażeby potem z całą swobodą oddać się pracy nad ujawnieniem wielkiej prawdy, której zawdzięcza spokój duszy, siłę i niezimordowaną energię!..

W przypisku, wolnym od iluzji i aluzji, dodał, że temi dniami wraca, że rad byłby zastać mieszkanie w porządku.

Po przeczytaniu tego listu Oborski oświadczył, że zaczeka, żeby go osobiście na swój ślub zaprosić, dodał przytem, że dziś Faust należy do „curiosum”, któremi się interesują nawet wyższe sfery, że wuj jego narzeczonej, hrabia Abert, też bawi się w spirytyzm, ale jest to stary dziwak, który część majątku stracił, pracując nad wynalezieniem perpetuum mobile, długi czas suszył mózg nad kwadraturą koła, a teraz w duchy się zabawia. Znajomość z Faustem zrobi mu wielką przyjemność!

Byleby wrócił!

Struś więcej niż w rozum, więcej niż w przekonanie, wierzył w nałogi i uczucia. Faust może przywieźć z sobą wiązanek aforyzmów, które prysną wobec przywiązania do starych ideałów. Ten się nie zmarnuje dla mrzonki! Chyba, że istotnie coś tam.

— Hm, kto wie!..

On sam od tylu lat zaniechał nauki!

Za młodu uczył i wychowywał bogatych paniczów; nie był stworzony na pedagoga; pracował dla chleba i z zasady...

Skoro tylko zdobył trochę grosza, rzucił nauczanie i książki. Studyował przyrodę — w przyrodzie widział niewyczerpane źródło wiedzy i... poecie. Do dna jeszcze nie sięgnął!

Może tam na dnie rozwiązanie wielu zagadek. Faust pracował.

— No i zwaryował — szepnął ze złośliwym uśmiechem.

Nie lubił, nie chciał o tem myśleć. Żał mu było dzielnego człowieka. Silny, zdrowy, rozumny, jeszcze przez pół wieku mógłby pracować, mógłby zahartowaną duszą innym otuchy dodawać. A tu fiut — raptem do metafizyki się przerzucił, stare baśnie w nowe formułki przyodziewał!

— Gdybym to ja wziął się do takich rzeczy i znalazł chociaż cień jakiś do prawdy podobny, a potem zwaryował, byłby to piękny koniec dla starych gnatów i starej skóry...

Cień nowej prawdy więcej wart, niż setki starych formułek. Ale ten... zdrowy lew, u którego nawet rany serca zablizniają się od powiewu wiatru... ten duszy całej w błędne ognisko wkładać nie powinien.

— No, byleby wrócił.

Winciarze kończyli kolację, pili zdrowie narzeczonego.

Nieco pijany śmiech rozległ się po cichym domu.

Struś obejrzał się przez ramię na pusty gabinet.

Szerokie liście latanii poruszały się zlekka nad fotelem przy biurku. Piękny biust Fausta z białego marmuru, ustawiony na bibliotece, spoglądał z góry na stolik zarzucony kartami, pokryty szeregiem cyfr niezapłaconego rachunku.

II.

W ogrodzie okwitały nasturceye, z lip i akacyi sypały się żółkłe liście, w słonecznej atmosferze unosiły się nici pajęczyny.

Cisza; słycać szczebiot wróblu na obnażonych lipach, od czasu do czasu zalatuje turkot z oddalonej ulicy.

W pałacyku, wsuniętym w głąb ogrodu, wszystkie okna otwarte naościę; to Struś przewietrza pokoje po psie, Oborskim.

Cisza.

Przed rokiem jeszcze czteroletni chłopak zdrów, silny, rumiany biegł tu z biczykiem po ścieżkach dokoła klombów, bujał się na huśtawce, brykał i dokazywał, rad z życia, ze swobody, śmiał się do dnia jasnego, do słońca, przed którym mrużył niebieskie oczęta! Zdrów, silny, rósł i rozwijał się!

W najodleglejszych kątach ogrodu rozlegało się echo jego żwawych stopek, rozlegał się odgłos śmiechu i szczebiotu. Ptaszki przyglądały mu się z dachu, z gałęzi, spoglądały na siebie i znów śledziły ciekawym wzrokiem swawolne jego życie!

Zmęczony, tarzał się z psem po trawie, w końcu zasypiał, wpatrzony zmrużonemi oczkami w szafirowe niebo. Nad jasną główką igrały motyle, brzęczały pszczoły, ptaki, jakby zdumione spokojem rozhukanego malca, zlatywały z gałęzi na krzaki, przyglądały mu się uważnie, a chłopak spał z rękami pod głową, z otwartą buzią.

Raz zbudził się osowiały, powlókł się do domu, ciągnąc za sobą biczyk w opuszczonej ręce. Ścieżka wydała mu się dziwnie długą... szedł, przystawał... chwiał się, uśmiechał z przymkniętymi

oczyma, przychyłając główkę z ramienia na ramię, a za niem włókł się ponter, wierny stróż i wierny towarzysz w zabawach: on przystawał, spoglądał na malca uważnie, szedł dalej noga za nogą, ze spuszczoną głową, z opuszczonym ogonem, wszedł za nim do mieszkania, a gdy oswiałego chłopaka ułożono w łóżeczku, ponter zasunął się pod łóżko i słuchał.

W pokoju malca zaroilo się od lekarzy: w dzień i w nocy bywało po pięciu i sześciu naraz; szeptano, rozprawiano, naradzano się... a ponter słyszał przyspieszony oddech dziecka i coraz słabsze uderzenia serduszka... Ile razy wysunął głowę z pod łóżka, albo gdy po krótkiej przechadzce wracał do pokoju, przy chorym malcu widział ojca... ten nie rozprawiał, nie szeptał, nie naradzał się... Stał przy łóżku malca i jak ponter słyszał tylko przyspieszony oddech i coraz słabsze uderzenia serduszka.

Pies obchodził go zdaleka, ostrożnie, a gdy stanął za plecami, podnosił głowę... W twarz spojrzeć nie śmiał; tyle w tej twarzy było beznadziejnej rozpaczki, tyle żalu i bólu... że ile razy spojrział na niego z ukosa, wysuwał się z pokoju i wył żalśnie za węglem domu. Służący bili go kijem, kopal nogami, żeby wyciem nie wywoływał śmierci. To też ponter, wróciwszy do pokoju, spoglądał tylko na buty pana, czasem widział załamane ręce, ale w twarz spojrzeć nie śmiał...

Chłopak zgasł po tygodniu choroby.

W ogrodzie kwitły kwiaty, brzęczały pszczoły, motyle igrały w słońcu. Ptaszki przez pierwszy tydzień oglądały się niespokojnie na trawnik, na puste ścieżki. Nadsłuchiwały...

Zwawy chłopak z jasną główką nie pokazał się już więcej w ogrodzie.

Przez ten rok dr. Faust stworzył sobie świat nowy, zapomniał nawet o boleści! Wynałazł... odkrył... domyślał się... a raczej uwierzył, że jest na drodze do wielkiej prawdy, rzucającej nowe światło na śmierć i dalsze życie.

Dziś wracał do domu... zupełnie spokojny.

Atletycznej budowy, średniego wzrostu, z dużą głową w szerokich ramionach, mało się zmienił, pomimo ciężkiej pracy, osiwił trochę i zżółkł; w siwych oczach pojawiła się zaciętość, na wargach drgał chwilami sarkastyczny uśmiech. Wiedział, że czeka go walka. Myśl ta sprawiła mu drapieżną przyjemność.

Na dworcu spotkał parę znajomych twarzy, zmrużył oczy, nie oglądając się, przeszedł salę i wybiegł na peron.

Wracał do domu pieszo. Potrzebował ruchu i trochę zwłoki.

Przez całą drogę usuwał, o ile mógł, myśl o pustym domu.

Szedł spiesznie. Od czasu do czasu ścisnął w pięści parasol, gryzł wargi.

Przy bramie ogrodu zdjął kapelusz... Obejrzał się po za siebie. Drżącą ręką szukał klamki, a wzrokiem obrzucał wierzchołki drzew ponad parkanem.

Wszedł.

Zachodzące słońce oświetlało czerwonym blaskiem okna w pustym domu.

Przez otwarte naścież drzwi widać ciemną sień. Ponter wyszedł na ganek, popatrzył na stojącego u furtki. Poszedł ku niemu z początku zwolna, jakby własnym oczom nie wierzył.

Dr. Faust obrzucił okiem puste ścieżki, pusty trawnik, przesunął ręką po czole.

Ból ścisnął mu gardło.

— Pies... Oh, pies... mój — szepnął, przytulił głowę jego do piersi i stał tak przez chwilę, zgnębiony... złamany, jak przed rokiem...

Dużo się nauczył, ale nic nie zapomniał.

W gabinecie usiadł w fotelu przed biurkiem, głowę oparł na rękach, zmalął, spokorniał, a kiedy wsłuchiwał się w grobową ciszę domu, łza za łzą spływały mu po policzkach i zawisły na szpakowatym zaroście.

Pies stał przy nim, patrzył mu w twarz i poruszał z wolna ogonem.

— Dlaczego ja cierpię?.. Zkąd ten ból i gdzie się gnieździ?.. Serce zdrowe, mózg w porządku, nerwy mocne. Więc zkąd ten ból? Co we mnie cierpi? Pamięć? wspomnienie? Ależ ja ten ból czuję we śnie... Czuję go nawet wówczas, kiedy o nim nie myślę? Dusza... boli! Dusza!..

Nie zdołał jeszcze oswoić się z tem pojęciem. To wszystko co, mówił i pisał o duszy, o duchach, te nieraz krańcowe, dziwaczne wywody i dowodzenia wypływały z gwałtownej potrzeby wiary... Pragnął świat cały przekonać, a w końcu możeby i sam uwierzył...

— Fakt jeden... jedyny. Ale taki, jak go sobie wyobrażano...

Czytał Crookse'a, Zöllnera, przestudował uważnie jego polemikę z Wundtem; wraz z Du Prelem starał się somnambulizm i spirytyzm objaśnić przez siebie wzajemnie; wczytywał się w jego dowodzenia o subiekcje transcendentalnym, który jest zarazem zasadą myślącą i organizującą indywidualnego bytu; wsłuchiwał się w sądy Lombrosa

i Richeta; wraz z Szopenhauerem powtarzał frazes, że:

— Kto nie wierzy w te rzeczy, nie jest sceptykiem, lecz ignorantem...

A gdy go współcześni uczeni zadowolić nie potrafili, czytał i rozmyślał o Schrepferze, Swedenborgu, czytał procesy czarownic, opowiadania podróżników o fakirach, o szamanach, greckie i rzymskie wyrocznie, ekstazy neoplatoników.

Zmęczony, chwiejny, z rozbudzoną fantazją, a pustem sercem, odsuwał książki i pytał zcicha: czy mój chłopak miał duszę?

Myśl ta stała się manią prześladowczą. Chwilami pragnął jej się pozbyć, pragnął zapomnieć. Próbował wrócić do zwykłej swej fachowej pracy.

Nie mógł!

Życie codzienne straciło dla niego wszelki urok i wszelki interes. Nie potrafiłby wrócić do drobnych codziennych spraw, którymi żył dotąd. Nauka wydała mu się zbiorem formułek, wymyślonych dla zaspokojenia łatwowiernej ciekawości; o ludziach nie myślał, oponenti z zasady, zjadliwi obrońcy zdrowego rozsądku drażnili go z początku i doprowadzali do zaciętej walki. Oni to więcej, niż wszelkie dowody i wyczytane fakty, popchnęli go do badania prawdy.

— Jeden, jedyny fakt! — powtarzał sobie w duszy.

Cały plan miał w pogotowiu, dotąd jednak nie zdołał wyszukać odpowiedniego medyum.

Widział już nieraz objawy zdumiewające, medya cudowne, które jednak zawsze bywały jakby w antreprzyzie, ktoś niemi kierował, ktoś nakręcał po swojemu, tak mu się przynajmniej zdawało.

Wierzył i podejrzewał zarazem... W ostateczności sam siebie o łatwowierność i zaślepienie oskarżał.

Był znakomitym magnetyzerem, dowody swej cudownej siły miewał już nieraz.

Myśli te nużyły go i rozdrażniały. Pewną ulgę przynosiło mu opisywanie widzianych i słyszanych faktów, wpadał wówczas w drobiazgowość, nie omiął najdrobniejszego szczegółu.

Wiedział, że otwiera przed tłumem świat nieznaną, tajemniczą, pełen nadzwyczajnych niespodzianek. Czuł, że psuje krew zaciekłym materyalistom, z których każdy ma go za skończonego blagiera, pomimo to czyta jego sbsurda, oburza się, szydzi, przyjmując za osobistą zniewagę wszelkie wystąpienia przeciw nauce pozytywnej.

Tu będzie pozbawiony nawet tej jedynej ulgi. Podrzucił ramionami. Co mu po tem?

Siedział, jak zdrewniały; myślą tylko zwiedził każdy kąt domu.

Stał długo nad łóžeczkiem chłopaka. Jutro na grób jego pójdzie...

Kto wie, może go te puste kąty wyleczą?

Tam było mu tak ciężko, tak strasznie smutno, iż z motyką porwałby się na słońce, żeby gwałtownym jakimś czynem zabić ból, zahypnotyzować się nadzieją, odurzyć, jak haszyszem tą myślą, że czas był tylko snem ciężkim, że śmierć nie przerywa życia.

Gośćniczka ta wyrwała go z apatyj, pchnęła do pracy, otworzyła nowy świat dla myśli i doświadczeń, dała mu trochę spokoju i trochę zadowolenia.

— Świat codzienny ze swą nauką wystarcza

szczęśliwym i głupim... Nieszczęśliwy zawsze od niego uciekał.

Westchnął; przesunął ręką po czole.

Lokaj wniósł lampę, spuścił story, stąpał ostrożnie, spoglądając zukosa na pana, zupełnie jak wówczas, przed rokiem, kiedy wszyscy traktowali go jak chorego, mówili zcicha, stąpali zcicha, a on przesiadywał całemi godzinami w tym samym fotelu.

— Pan Struś?—spytał lokaja.

— W domu. Czy mam prosić?...

Skinął głową.

Lokaj wysunął się z gabinetu.

I ten, tak samo jak przed rokiem, nie śmie wejść do niego. Otaczał go opieką, zgadywał jego myśli, czuwał, jak nad bezsilnym, chorym dzieckiem, ale nie wołany nie wchodził. Posiadał delikatność kochającej kobiety zdaleka... poczciwiec!..

Struś wszedł w czerwonym fezie, zsuniętym na lewe ucho, gryzł wargi i wpatrywał się w doktora z pod okularów.

— Che, che, wyglądasz, jak tur; nawet łysina zarosła! No, dobrze, żeś wrócił!

Uścisnęli się za ręce.

Struś obrócił się, szukając niby krzesła, tymczasem szybko zacisnął powieki: dostrzegł błyszczące krople rosy na szpakowatym zaroście doktora — i zrobiło mu się głupio na duszy.

Schwycił krzesło i usiadł naprzeciwko przy biurku.

— No, cóż? gadaj... Jak się miewasz, zdrów, spokojny, co?

Uderzył dłońmi po kolanach, a czerwony chwast fezu poruszał się w takt nad uchem.

— Jestem zdrów, jak tur, nawet łysina zarosła.

Spojrzeni sobie w oczy.

Struś gryzł wargi zawzięcie, nozdrza mu drgały, bronił się, jak mógł, od rozrzewnienia.

— A tu u nas wszystko po staremu! Wicher złamał dwie lipy w ogrodzie i połowę dachu ze stajni zerwał. Podłg mieliśmy wiosnę, ciągłe burze i ulewy! Czego grad nie wybił, to woda wypłukała. Pisałem o tem do ciebie, jak i o wielu innych rzeczach, ale z listów twoich nigdy nie mogłem zrozumieć, czyś ty moje otrzymał. Ja czołgałem się po ziemi, tyś biegał w krainie duchów! Ha, ha!...

Zerwał się z krzesła; z rękami w kieszeniach biegał drobnymi krokami po gabinecie, zerkając z ukosa na doktora; z dwojga złego wołał już brednie wybujałego umysłu, niż łzy w oczach nieszczęśliwego ojca.

Wiedział dobrze, że odrazu w słabą stronę trafił.

— Ha, ha!—śmiał się z cicha, biegając po gabinecie.

Doktor, rozparty w fotelu, z rękami na poręczach, przyglądał mu się z pod przymkniętych powiek.

— Oborski wyjechał?

— Oborski? Gra w karty i czeka na ciebie. Jesteś *curiosum*, dzienniki piszą o tobie, warto cię na wesele zaprosić. Będzie tam stryj panny młodej, też spirytysta, wprowadzie jeszcze nie *curiosum*, ale zato hrabia. Widzisz, do czego obcowanie z duchami doprowadzić może!

I drugi kamień, rzucony do ogródka doktora, nie zrobił wrażenia.

— Z kim on się żeni?

— Z Prottówną. Pisał przecież do ciebie.

Doktór wyprostował się w fotelu; oczy otworzył szeroko.

-- Z Prottówną? — powtórzył, jakby własnym uszom niedowierzając.

Struś skinął głową, przyczem chwast fezu zsunął mu się na czoło i znów na ucho odpadł.

Zaśmiał się zcicha, podrzucił ramionami i splunął w stronę pieca.

Arystokratą nie był, ale wzdrygał się na związek osła z gazelą, uważał takie małżeństwo za niedobre.

Poleg znał od dziecka. Oborskiego zaś poznał bliżej dopiero taraz; miał dla niego w zapasie kilka epitetów, z których każdy malował dokładnie jego naturę, ale żaden nie należał ani do przyjemnych, ani do uprzejmych. To też Struś tylko za oczy szczerze odzywał się o Oborskim.

Doktór znał jej matkę, leczył ją przed dziesięciu laty. Dziwna była kobieta. Teraz może lepiejby ją zrozumiał... możeby leczył inaczej...

Zgasła na jego rękę, a w duszy pozostała mu niewyjaśniona, ciemna zagadka, jakby wyrzut sumienia, tem dotkliwszy, że chora ufała mu bez granic.

Przymknął oczy; wspomnienia zaroiły się w duszy ciepłe, serdeczne.

Kobieta młoda, ładna, trochę egzaltowana, posiadała ten czar błogi, właściwy wykwinntym naturom, skazanym na śmierć przedwczesną. Przy niej wracał do młodości i zapału, odgrzebywał w duszy zarodki piękna i dobra, dostrajał się, jak mógł, do czystej, podniosłej natury; tęsknił do niej; długo

z nią przebywać nie mógł; nużył go podniosły nastrój, męczyło przebywanie w atmosferze zbyt czystej, trochę monotonnej; ale wracał chętnie, jak się wraca do świątyni nie przez religijność, lecz dla ciszy, w której stłumione, zapomniane myśli budzą się i do życia wracają.

A ona?

Nigdy nie miał odwagi odpowiedzieć na to pytanie.

Struś nie dał za wygraną; w dalszym ciągu atakował duchy i spirytystów; bezpośrednio niby nie atakował doktora, drwił tylko z maniaków i od niechcenia, jakby żartem, stawał w obronie zdrowego rozsądku.

Rozprawiał raczej z samym sobą, niż z doktorem, który w zadumie zdawał się nie zwracać na niego uwagi.

Przechodząc około biurka, z pod oka spoglądał na jego twarz spokojną, na smutny wyraz twarzy... Zżył się w duszy! Więc to jest ten zjadliwy, gwałtowny obrońca chorobliwych mrzonek, którego dzienniki nazywały blagierem, szukającym rozgłosu i sławy za pomocą drażnienia głupoty tłumów, smutnym okazem zwyrodniałego dekadentyzmu, odurzającego się haszyszem nadzwyczajnych zjawisk, żeby stłumić resztki sumienia i uwolnić się od wszelkich obowiązków.

— To on... blagier... oszust, dekadent? Przypomnił jego listy, gwałtowne artykuły w dziennikach.

— Hm, tam może... waryował trochę, ale to wróci na drogę rozsądku; inaczej być nie może!...

Doktor przypomniał sobie jego obecność, a jednocześnie „zdrowy rozsądek” zabrzączał mu około uszu.

— Wasz zdrowy rozsądek, to mocny płotek, z za którego lada tchórz ciska kamieniami w to wszystko, czego nie rozumie—odrzekł zwolna z głową opartą na rękę.

Struś zatrzymał się nagle.

— Cha, cha! Więc dobrze, wychodzę z za płota, czyli wyrzekam się zdrowego rozsądku; czy teraz będę godzien usłyszeć o nowych cudach, które światu objawić zamierzasz?

Faust milczał.

— Mów, bo dalibóg, znów za płot się schowam, a żadna siła nie wyciągnie mnie ztamtąd ponownie! Apostołowie nowej wiary powinni dbać o każdego, kto pragnie się nawrócić chociażby przez ciekawość.

Pochylony naprzód, z fezem zsuniętym na tył głowy, patrzył mu w twarz złośliwie uśmiechniętą.

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Doktor i Struś głowy ku drzwiom zwrócili.

Do gabinetu wszedł Oborski w czarnym garniturze, w białym krawacie; długa twarz o rudych faworytach czerwienią była, niż zwykle; włosy rozdzielone akuratnie, układały się w dwa krągłe zęby na czole. Zalatywały od niego jakieś mocne perfumy, od których Struś kichnął głośno, a skinąwszy głową gościowi, znów po gabinecie biegać zaczął, zły, że mu rozmowę przerwano.

Oborski powitał doktora, kapelusz na biurku położył, a usiadłszy w fotelu, ściągał zwolna rękawiczkę z ręki, na której miał zaręczynowy pierścionek z pysznym brylantem.

Nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy; na powinszowanie doktora z powodu małżeństwa skinął głową; dopiero, gdy zdjął rękawiczkę i ręką

z brylantem pogładził faworyty, uśmiechnął się z angielska i odrzekł:

— Tak, żenię się z Polą.. Pamiętasz tę dziwkę kotkę? Nie zmieniła się prawie, urosła i schudła, podobna do matki... *On la trouve jolie...*

Nogę na nogę zarzucił, łokieć o poręcz oparł i gładził zwolna faworyty ręką z brylantem.

Doktór brwi ściągnął; raziły go wyrazy, wypowiedane z przyciskiem, raził głos płaski, trywialny i cała figura sztucznie sztywna, w uperfumowanym ubraniu.

— A to stara małpa!—szepnął Struś, kręcąc głową ze zjadliwym uśmiechem. — Ojciec jego, to chyba jeszcze nie był człowiekiem! Taka lokajska morda najspokojniejszego potrafi z przyzwoitości wyprowadzić!

Zacisnął pięści.

Oborski wyjął z bocznej kieszeni fotografię gabinetową i położył na biurku przed doktorem. Rozparł się w fotelu, a wciąż gładząc faworyty ręką z brylantem, spoglądał z boku na doktora.

Siwe oczy o rudych rzęsach wyrażały tryumf i zadowolenie.

Panna ładna, bardzo bogata, z arystokratycznego domu, świetna partya.

Długo szukał, aż znalazł, a właściwie oni go szukali. Wuj panny sam go ośmielił do oświadczyn. Dziewczyna za nim szaleje; nie pierwsza i nie ostatnia... Miał szczęście do kobiet, szczególnie do mężatek, a to dlatego, że z zasady unikał panien i nadal tej samej metody trzymać się zamierza... Ten przemądrzały dziwak zazdrości mu w duszy, jak wszyscy zresztą...

Podrzucił ramionami nieznacznie.

— Każdy to ma, czego szuka i na co zasłużył.

W myślach *a* wymawiał zupełnie poprawnie:

— Podobna do matki — powtórzył doktor.

Fotografia drgała mu w ręku. Szczupła brunetka w białej sukience wyglądała jak podłotek; tylko pyszne szare oczy, o czarnych brwiach i rzęsach spoglądały poważnie.

— Czy ona zdrowa? — zapytał doktor, pochylony nad fotografią.

— Rozpieszczona, dziwaczy trochę... to przejdzie; ja kaprysów nie lubię. Dziwactwa znikną, gdy nauczy się słuchać...

— A jeżeli się nie nauczy? — rzucił Struś mimochodem.

Oborski spojrział na niego, ale nic nie odrzekł. Mówił mało, a wyrażał się treściwie, to mu nadawało dystyngowaną powagę. Wzorowy rolnik, zawołany sportsman, nawet w kwestyach stajni i rolnictwa przemawiać nie lubił; to też sąsiedzi cenili jego takt, rozum i chętnie powoływali się na jego zdania, których prawie nigdy nie wypowiadał.

— Mam nadzieję, że na wesele nasze przyjedziesz? — rzekł do doktora — jesteś moim najbliższym i prawie jedynym kuzynem, Pola wspomina cię, jako starego przyjaciela.

Doktor zwrócił się ku niemu, podniósł brwi, patrzył roztargniony, usiłując skupić myśli.

Wspomnienia uniosły go w przeszłość: przypomniał sobie, jak nieraz kapryśną, rozpieszczoną dziewczynkę trzymał na kolanach, jak ją uspokajał, gładząc ręką po główce. Matka utrzymywała, że on jeden umie ją ugłaskać, że tylko jego słucha, a każdą jego wizytę zawczasu odczuwa.

— Zostaw mi tę fotografię — rzekł stłumionym głosem. — Poli wzamian zawieszysz ode mnie...

Wstał, zapalił świecę.

— Małą pamiątkę — dodał po chwilowem milczeniu.

Wyszedł ze świecą do sypialni.

Oborski nie myślał nalegać: zapraszając go, spełniał tylko towarzyski obowiązek grzeczności. Nie lubił mieszczuchów, nudził się z nimi; jedni przeceniają naukę i pracę, inni—ci, co fagasują pannom i szlachcie — zanadto podobni do spoufalonych lokajów.

Przeciągnął się w fotelu i ziewnął; trzy noce spędził na kartach; dziś znowu grać będzie.

Spojrzał na zegarek — miał jeszcze godzinę czasu.

Doktór podał mu safianowe pudełeczko.

— W medalionie włosy jej matki. Ofiarowała tę pamiątkę mojej żonie; zwracam relikwie córce, ażeby się z czasem nie dostały do rąk profanów.

Oborski, niby pod pozorem obejrzenia relikwi, otworzył pudełko.

Gładki, złoty medalion na złotym łańcuszku wyglądał tak marnie, że naraz odechciało mu się oglądać relikwii: zamknął pudełko i schował do kieszeni spodni.

Podziękował lekkim uściskiem ręki.

— A więc możemy liczyć na ciebie? — rzekł, sięgając po kapelusz.

Postawił go na krześle przy fotelu i zaczął naciągać rękawiczkę.

Doktór odmówił stanowczo; nie nadawał się do

towarzystwa, odwykł od ludzi; w tym czasie zresztą będzie bardzo zajęty i nawet paru dni nie mógłby poświęcić. Odwiedzi ich później, za miesiąc, za dwa.

Oborski słuchał, wyglądając rękawiczkę na rękę; przyglądał się swoim długim palcom, zapiął z wolna rękawiczkę i znowu sięgnął po kapelusz, ustawivszy go na kolanach.

— Tak, więc odmawiasz? Poli będzie bardzo przykro, liczyła na ciebie.

Zamilkł, wpatrzony w dno kapelusza.

— Chciałbym, ażebyś ją zbadał. Matka była anormalną, córka odziedziczyła nerwowość. Nie życzylibym sobie, ażeby z czasem z usposobienia stała się do matki podobną. Wszak można temu zapobiedz?

— Każdej chorobie zapobiedz można.

— Tak sądzisz? Tem lepiej dla chorych! Liczę na twoją siłę magnetyczną!

Uśmiechnął się drwiąco.

Doktór odprowadził go do drzwi gabinetu.

III.

W przeciągu kilku tygodni dr. Faust zasłynął jako hypnotyzer.

Teraz już od niego samego zależało, aby stać się modnym i poszukiwanym; trochę uprzejmości, odrobinę „miękiego” taktu w postępowaniu ze znanymi i zasłużonymi, mniej zarozumiałości i upor, a nawet ci, którzy ubolewali nad jego obłądem, go-

towi byli podać rękę do zgody, zdobyć się na po-
błażenie.

Rozumiano przecież, że cała ta farsa z ducha-
mi była to zwyczajna reklama i basta.

Pragnął zbliżyć się do zagranicznych uczonych,
połączyć swoje nazwisko z ich nazwiskami, pragnął,
choćby za pomocą jaskrawej reklamy, zwrócić na
siebie uwagę — dopiął celu, a teraz będzie w dal-
szym ciągu robił pieniądze.

Zdolny i sprytny.

Dwie te zalety rzadko chodzą w parze; on sam
dopiero teraz spryt objawiać zaczął; dawniej był
tylko uczonym, pracował poważnie i miał majątek,
odziedziczony po ojcu; teraz sam zechciał spróbować
szczęścia.

Zaczął od reklamy, a skończy na milionie. Nie
on pierwszy i nie ostatni tą drogą do celu trafił.
Głupi tłum zawsze na reklamę leci. Gdyby sławny
atleta założył fabrykę kwiatów, mógłby śmiało liczyć
na powodzenie — tłumowi tylko okrzyczanego nazwi-
ska potrzeba.

Na szczęście, błaga długo olśniewać nie może:
przekonają się, że w tej niby nowej metodzie zale-
dwie cię prawdy istnieje — przekonają się i ochło-
ną, a tymczasem niech sztukmistrz korzysta.

Obfite żniwo prędko się skończy, a po forso-
wnych zyskach prawie zawsze następuje smutne bez-
robocie; teraz jednak każdy dzień dra Fausta obli-
czano na setki rubli; wyzyskiwał chorych strasznie,
tak przynajmniej o nim opowiadano. Każdy powta-
rzał to, co słyszał, gdyż dr. Faust był już sławnym,
a teraz stawał się modnym.

Przyjemnie jest powtarzać chociażby drobne
szczegóły o takim człowieku.

A tu szpetna jesień zapanowała na dworze.

Deszcz lał przez kilka dni z rzędu, ranki były mgliste, po niebie snuły się ciemne chmury.

W ogrodzie doktora kałuże wody stały na ścieżkach, zasypanych po brzegach żółtkłemi liśćmi; w mieszkaniu panował półmrok wilgotny, w ciszy słychać było tylko leniwe stąpanie psa, który przechadzał się z pokoju do pokoju, ziewał, kładł się na futrze pod biurkiem, poruszał zlekka ogonem, nasłuchując pilnie, czy pan nie wraca.

Zwykle około czwartej karetka zatrzymywała się przed bramą, doktor wysiadał znużony, ponury; szedł ścieżką przez ogród ku domowi, żwir wilgotny skrzypiał pod nogami, wiatr rozwiewał poły rozpiętego paltota; doktor gryzł wargi, z pod nachmurzonych brwi spoglądał w okna. Nie lubił wracać do domu.

Schudł, osiwiiał przez te kilka tygodni; policzki, obrośnięte siwiejącym zarostem, obwisły, jak u buldoga, tylko siwe oczy spoglądały z dawną przenikliwością, a w szybkich ruchach przejawiała się dawna energia.

Przechodząc przedpokój, udawał, że nie widzi czekających chorych; zamykał się w gabinecie, siadał na fotelu przy biurku z rękami na kolanach, patrzył bezmyślnie w palące się świece.

Wracał coraz więcej wyczerpany, a z każdym dniem coraz więcej pracował.

Wszedł znowu w ten wir pracy, który go przed rokiem już miażdżyć zaczynał... i znowu jest tylko przerabiaczem cudzych pomysłów, poglądów i zdobyczy.

W tem wszystkim, co robi, niema najdrobniejszego szczegółu, któryby sobie samemu mógł przyznać — nic!

Dyagnoza?...

Uśmiechnął się pogardliwie, w szarych oczach zamigotały płomienie świec, płonących na biurku.

W mozolnem życiu żal występuje dokuczliwy, ale jakby zdrobniały, jakby w dotkliwe ukłucia zmieniony.

Zdenerwował się, jak kobieta, ocierając się wciąż o drobne wspomnienia.

Praca wyczerpuje, nowych sił i otuchy niema z kąd czerpać, a tu co krok pamiątka: kapelusz malca, bucik, kartka jego zygzakami zapisana...

Zacisnął powieki.

Tam już było inaczej. Tam już zaczynał wierzyć—miewał chwile spokoju, szedł do prawdy wraz z innymi i wraz z nimi wątpił, oczekiwał, badał; tylko ich ostrożności, czy też bojaźliwości podzielać nie mógł.

Od pierwszego objawu nieznaney siły powzięł myśl, która go ani na chwilę nie opuszczała, stała się jego manią, zmusiła w końcu do zerwania z ludźmi, którzy się zgodzić z nim nie chcieli. On to „coś”, tę niezbędną formę energii pragnął pochwycić, oddzielić od źródła, bez względu na wszelkie zastrzeżenia i postrachy, zatrzymać tak długo, jak się da... może na zawsze...

Mglisty obłok, następnie wyraźna, wybornie ukształtowana postać, którą widywał powstającą z uspionego medyum, z początku zdumiewały go, zaciekawiały, w końcu zaczynały drażnić. Zjawisko pojawiało się i znikało niezależnie od obecnych, w najdziwniejszych warunkach, nie dawało się unormować, ując w karby...

Żyło, istniało, posiadało indywidualne cechy, odróżniające je od medyum, ale wciąż tylko było drażniącą zagadką, majaczeniem, któremu obecni

przez zbytnią ostrożność nadawali nieokreślone jakieś znaczenie.

Zżymał się, gdy o tem myślał; gwałtowna, stanowcza natura domagała się rozwiązania zagadki, chociażby kosztem życia.

Od czasu, kiedy na wszelkie możliwe sposoby przekonał się, że nie ulegał halucynacyom, że to, co widział, istotnie istniało, pochwycenie stało się dla niego koniecznością i myślał o tem aż do zawrotu głowy: układał plany, robił najdziwaczniejsze przypuszczenia... Snił o tem całemi nocami... Budził się zrana, jak z letargu, ociężały, bezmyślny; z trudnością wracał do życia... Lecz zaledwie odzyskał przytomność, siły, energię,—ciekawość budziła się z nową mocą, przybywały nowe argumenty, gwałtowniejsze, dokuczliwsze, których stłumić nie chciał i nie mógł.

W Paryżu bywał tylko na posiedzeniach, jako członek; pozwalano mu przyglądać się, robić wnioski, ogłaszać drukiem, co widział i słyszał, ale na własną rękę działać nie mógł: ulegał pewnej karności, która go w końcu znecierpliwiła. Oni robotę rozkładali na całe wieki, a jemu do śmierci może już tylko parę lat zostało.

Teraz chciał spróbować sam...

Cisza, samotność, skupienie ducha — skuteczniejsze być mogą, niż wszelkie metody i naukowe ostrożności.

Posiadał potężny zasób siły magnetycznej... tej sile wszyscy znani badacze zawdzięczają swoją wiedzę, wyjątkową swoją potęgę, która, bądź co bądź... istniała!... Ślady jej poznał i zrozumiał, wczytując się w różnorodne hieroglify, które mu do rozwiązania zagadki dopomóżdź miały.

Sam... bez świadków i kontroli, bez tych zdu-

mionych albo niedowierzających twarzy, dla których istniał tylko sam fakt zjawiska, chciał zbadać przyczyny.

Przestał o tem mówić, przestał pisać, zamknął w sobie cały zasób przekonywających argumentów, gwałtowne wybuchy przeciwko szydercom, sceptykom, zmateryalizowanemu mędrkom.

Uspokoił się pozornie, tylko nad roztargnieniem zapanować nie mógł—i pamięć zaczęła szwankować.

Powszednie, codzienne sprawy zlały się jakby w jedną szarą masę; nieraz zrozumieć nie mógł sporów, krzyków, jęków i narzekań, a gdy przy usilnem skupieniu uwagi zrozumiał w końcu, o co idzie, wzruszał ramionami nieznacznie i odchodził w milczeniu.

Ludziska muszą grzebać się wiecznie w tych samych sprawach i zadaniach, żyjąc z dnia na dzień; muszą własne zachcianki uważać za prawa, rządzące światem! Z brutalnej przewagi materji nad duchem wyswobodzi ich tylko jasna, dla wszystkich dostępna świadomość o dalszym ciągu życia.

Nie widział innej drogi do podniesienia i uszlachetnienia ludzkości...

Poszukiwał medyum; kilka słabych objawów tego rodzaju dostrzegł u swych pacjentek, rozwinąłby może i spotęgował tę siłę, gdyby nie opór chorych, które oburzały się na samo przypuszczenie, że im jakieś „dziwaczne” właściwości przypisywano. Dwie z nich przestały się leczyć, trzecia głosiła, że hipnotyzm zdenerwował ją ostatecznie i stała się najzaciętszym wrogiem doktora.

Dopiero przed trzema tygodniami trafił na ciekawy okaz...

Wrócił do domu, jak zwykle, o czwartej...

W poczekalni siedziało kilka osób; przeszedł około otwartych drzwi ze spuszczoną głową, był strasznie zmęczony; pracował sześć godzin z rzędu.

Przy drzwiach gabinetu stała kobieta, a młodziutka dziewczeczka siedziała przy niej na krześle. Kobieta miała lat trzydzieści kilka, wyglądała na suchotnicę... W czarnej spódnicy, w czarnym aksamitnym, obwisłym kaftanie, w szarej koronce związanej pod brodę, bez rękawiczek, w przydeptanych prunelowych pantoflach, tuliła się do ściany i drżała zlekka; musiała być piękną niegdyś: śniadawa, brunetka, o delikatnych rysach, w czarnych ogromnych oczach miała wyraz bólu i trwogi.

Gdy doktor stanął przed nią, wcisnęła się w kąt i tylko ruchem ręki swoją śliczną córeczkę wskazała, przyczem w oczach jej łzy stanęły: spuściła oczy; pyszne czarne rzęsy zarysowały się na śniadych policzkach; wciśnięta w kąt chudą ręką przytrzymała aksamitny kaftan na piersiach, a w całej postawie było tyle pokory, smutku, zażenowania, że doktor na razie przemówić do niej nie śmiał.

Wziął dziewczeczkę za rękę i wprowadził do gabinetu. Matka wsunęła się za niemi nieśmiało, stanęła przy drzwiach w cieniu, a gdy doktor przysunął krzesło — usiadła na brzegu. Przez cały czas rozmowy patrzyła w ziemię, chwilami tylko z pod długich rzęsów rzucała na doktora bystre spojrzenia, w których malował się niepokój, ciekawość i smutek głęboki, stanowiący główny rys tej wychudłej kobiety w starym aksamicie i w starej koronce.

Z odpowiedzi jej poznać było można umysł logiczny i namiętne przywiązanie do dziecka; widocznie cały swój czas i całą duszę poświęciła od pierwszego dnia życia.

Dziecko przyszło na świat w złych warunkach... Chowala je troskliwie, ale nie mogła zapobiedz chorobie. Zamało zarabiała, ażeby się leczyć jak należało... Zaczęła, ale o tyle tylko, o ile mogła... Teraz może już za późno... Lekarze radzą zostawić to czasowi, a ona widzi, że z dzieckiem jest coraz gorzej...

Pod koniec mówiła już prawie szeptem, przykneęła oczy: dwie łzy spłyęły po policzkach.

Kiedy doktor zaczął badać dziewczynkę, wstała z krzesła, z zapartym w piersiach oddechem słuchała, wpatrzona w doktora, to w córkę. Parę razy chciała przemówić, poruszała wargami, wstrzymała się jednak, policzki pałały jej, jak ogniem.

Dziewczynka była lunatyczką, wpadała w odętwienie, miewała szalone bóle głowy i spazmy. Z paczki recept, którą matka złożyła na biurku, doktor przekonał się, że wszelkie możliwe środki były już wyczerpane.

— Pan ją wyleczy?—szepnęła matka.

Czekając na odpowiedź, wpatrzyła się w niego tak rozpaczliwie błagalnym wzrokiem, że doktor odwrócił głowę i spojrział mnchinalnie na zegarek.

— Spróbuję—odrzekł.

Był trochę wzruszony, nie miał odwagi wyznać, że i on, jak jego poprzednicy, prawie nic, albo bardzo niejasno rozumie stan zdrowia dziewczęcia.

Kazał chorej przyjść jutro, tymczasem zaś bardzo stanowczo, z naciskiem upewniał, że będzie zdrowa, że tej nocy zaśnie spokojnie; patrzył jej w oczy przenikliwie.

Dziewczynka zarumieniała się, jak jutrzienka. Śliczna blondynka, z popielatemi warkoczami, wyglądała jak księżniczka, w zgrabnej flanelowej su-

kience w kratkę białą z czarnem, wypieszczona, wychuchana, apatyczna i uroczą zarazem.

Matka stała przy drzwiach, wyczekując może słowa nadziei.

— Pan ją wyleczy...—powtórzyła błagalnie.

Doktor raz jeszcze powtórzył, ażeby przyszła jutro.

Wyszły. Przeprowadził je wzrokiem, widział, jak drzwi zamknęły za sobą i przez chwilę miał pustkę w gabinecie, oświetlonym lampą wiszącą u sufitu i dwiema świecami na biurku.

Spojrzał na drzwi, a przed nim znów stała kobieta w czarnym, aksamitnym kaftanie, z czarną koronką na włosach, patrzyła na niego wyrazistemi oczami, wargi drgały, głowę zlekka do drzwi przyśloniła.

Wstał, podniósł głowę, mrugnął kilkakrotnie oczami. Kobieta znikła, pozostało jednak wrażenie niezwyklego spotkania: gwałtowne uczucie w naturze wysoce nerwowej mogło wytworzyć jakąś siłę, która teraz wciąż mu tę nieszczęśliwą przypominać będzie. Twarz, oczy, głos pozostaną na długo w pamięci.

Tego wieczoru chorych nie przyjmował.

Ochłonał z wrażenia, wypoczął, a gdy mógł już myśleć porządnie, zasiadł ze Strusiem do partyi szachów.

Struś uśmiechał się złośliwie; wiedział już, że szachy potrzebne były doktorowi do uporządkowania chaotycznych myśli.

Wnioskując zaś z wyjątkowo natężonej uwagi tego wieczoru, doszedł do przekonania, że musiało zajść coś niezwyklego w krainie chorobliwej fantasmagoryi.

— Hm, może dyabła zobaczył? — mruknął, gdy doktor wbrew zwyczajowi zaatakował jego królowę.

Przez kilka dni przyglądał mu się uważnie i czegoś wyczekiwał.

Doktor zmienił się, jak gdyby naraz przeszłość smutna zniknęła z pamięci, a on sam odmłodził i zamierzał żyć zupełnie inaczej, niż dotąd.

Taki miał wesoly uśmiech, takie przebłyски zachwyty w szarych oczach, że Struś przestał z nim rozmawiać, po dawniejszemu nie chciał, a na nową nutę trafić odrazu nie mógł; czekał, aż to się wyklaruje, albo przeminie.

Doktor wracał do domu coraz wcześniej, śpieszył przez ogród pogwizdując, a zaledwie wszedł do przedpokoju, pytał o Strusia, biegał po pokoju z rękami w kieszeniach; mówił o kilku rzeczach naraz, przerywał rozmowę, patrzył mu w twarz uśmiechnięty, roztargniony, spoglądał na zegarek, niecierpliwił się, ale tą niecierpliwością zakochanego, który w oczekiwaniu znajduje przyjemność.

Chorych nie przyjmował wcale, a na złośliwe uwagi Strusia o znikomości cudownego hypnotyzmu, kiwał głową potwierdzająco. Stracił chęć do rozmowy, do sporów, zamknął się sam w sobie, jakby się rozplynał w jakiejś błogiej wewnętrznej kontemplacji.

Całemi godzinami przesiadywał w gabinecie z chorą dziewczką, a przez ten czas matka siedziała przy drzwiach w przedpokoju; nieruchoma, z rękami splecionymi na kolanach, z szeroko otwartymi oczami, łowiła uchem każdy szmer za drzwiami, a twarz wychudzona, zczerniała, wyrażała naprzemian rozpacz i nadzieję.

Znużona nieruchomem nasłuchiwaniam, oglądała ostrożnie paltocik dziewczeczki, który trzymała na kolanach, niebieską włóczkową chusteczkę i rękawiczki, ale nie przestawała słuchać ani na chwilę; zdawało jej się, że przez zamknięte drzwi słyszy równy oddech... szept cichy, czasem, jakby jęk stłumiony. Zrywała się z krzesła, spoglądała przerażonym wzrokiem po pustym przedpokoju...

Lokaj drzemał na krześle pod lustrem; duży żółty pies stał przy drzwiach i patrzył na nią błyszczącymi oczami.

Jego też do gabinetu nie wpuszczali.

Stłumiony jęk powtarzał się kilkakrotnie.

Kobieta paltocik, chusteczkę i rękawiczki złożyła na krześle; sama stała przytulona do drzwi.

Pies oczu z niej nie spuszczał, od czasu do czasu pokazywał zęby, gotów rzucić się na nią, gdyby rękę do klamki podniosła.

Dziewczynka wychodziła z gabinetu coraz słabsza; uśmiechała się do matki, jak przez sen, przechylając ociężałą główkę z ramienia na ramię; oczy zgasły, poruszała się, patrzyła, jak lunatyczka...

Na widok jej w matce budziła się furja żalu i przerażenia. Drżącymi rękami zapinała paltocik, zawiązywała chusteczkę.. a jednocześnie z pod czarnych rzęs rzucała przeszywające spojrzenia na doktora, który stał we drzwiach gabinetu roztagoniony, jakby zmieszany, mrugał oczami, gryzł wargi, cofał się w końcu, unikając złych oczu rozjątrzonej kobiety...

Dziewczyzna zawiodła jego oczekiwania. Na razie był pewny, że znalazł dawno poszukiwany okaz. Zasypiała z łatwością, a we śnie zdradzała objawy jasnowidzenia... Zanotował parę faktów zdumiewających; niewątpliwie było to medyum niezwykłe.

Zawczasu już uplanował cały szereg prób i doświadczeń, w myślach układał sprawozdania.

Wtem siła znikła. Od tygodnia ani jednego objawu. Dziewczyna zasypia, wpada w odrętwienie; budzi się z trudnością, nieprzytomna, osłabiona.

Czy on ją przeforsował przez zbytnią gorliwość? Czy nie zrozumiał jej usposobienia?... Teraz po każdym seansie był wściekły! Walczyła w nim żądza wiedzy, rozbudzona ciekawość, gwałtowna ambicja — z niemocą, z bezsilnością, ze zwątpieniem!

Tak, miewał chwile rozpaczliwego zwątpienia!...

Wówczas rzucał się po gabinecie, jak tygrys; w gardle go dławilo, zaciskał rozpalone pięście, a w mózgu rozgorączkowanym pojawił się raptownie frazes:

— Dlaczego, u licha, ja się nie powieszę? Spluwał, podrzucał olbrzymiami barkami i starał się drwić z głupiego zwątpienia, jako z pozostałości dawniejszego filisterstwa, skostniałych formułek urzędowej nauki.

Czuł jednak, że tym razem wymknęło mu się z ręki coś, co mógł pochwycić, a nie umiał, nie potrafił; że z własnej winy zmarnował znakomity materiał.

Jak i kiedy to nastąpiło -- nie umiał sobie tego powiedzieć.

Przez trzy pierwsze seanse, objawy wzmagały się znakomicie, na czwartym — raptownie wszystko znikło! Czy on za dużo swej siły zużył, czy zbyt słaby organizm wyczerpał się odrazu... Czy to się już skończyło... czy może tylko przerwa chwilowa?

Gubił się w domysłach, w przypuszczeniach.

Każdy seans rozpoczynał z nadzieją, kończył rozczarowany, wściekły i przygnębiony zarazem!..

Chciał rzucić. Kilka razy miał oznajmić matce, żeby nie przychodziła — nie mógł. W oczach kobiety była jakaś groźna potęga, która go oniesmielała...

Nie przyznawał się do tego, wistocie jednak nie miał odwagi mówić z nią o córce.

Wiedział, że dziewczyna traci siły, gaśnie... Liczył trochę na to ostateczne osłabienie. W tym stanie parę razy widział świetne objawy jasnowidzenia... a bał się trochę, żeby mu pod ręką nie zgasła.

Raz jeden jeszcze... Potem pozwoli jej wypocząć, ale z oczu nie straci. Kto wie jeszcze, co z niej być może... to początek dopiero!

Onegdaj oznajmił Strusowi, że Oborski wzywa go na wieś do żony. Pojedzie do nich na parę dni, może na dłużej... wypocznie, orzeźwi się nieco. Kto wie, może on swoją siłę wyczerpał; w ostatnich czasach pracował dużo—wcale się nie oszczędzał. Wyjazd na wieś wzmocni go i uspokoi.

Dziś powie matce, żeby nie przychodziła przez parę tygodni... ale dziś jeszcze spróbuje zamagnetyzować małą... Ostatnim razem była trochę rzeźwiejsza; we śnie przemówiła kilka razy w niezrozumiałym języku... Wyrazy te zanotował skrupulatnie.

Wiedział z doświadczenia, że chwilowe pogorszenie jest nieuniknione przy magnetyzmie; nie tracił nadziei, że z czasem je wyleczy—przedtem jednak próbował, czy nie uda się wyrobić z niej podatnego medyum...

Próby te wyczerpywały dziewczynkę, ale on nie umiał pokonać ciekawości.

Do dzisiejszego seansu przygotował się starannie, niż zwykle; cały ranek spędzał na świeżem powietrzu, czuł się rześwym, silnym, myślał pogodnie. Dzieweczkę powitał z żartobliwym uśmiechem, matce rękę uściśnął. Biedna kobieta stanęła jak w ogniu, nadzieja błysnęła w oczach; przez cały czas seansu serce jej biło, uśmiechała się, ocierała łzy ukradkiem; spodziewała się czegoś niezwykłego... oczekiwała słowa otuchy...

Dzieweczka usnęła odrazu, wyciągnięta na szezlongu, z głową odrzuconą na poduszkę, oddychała tak cicho, że doktor, pochylony nad nią, wpatrzony w bladą twarzyczkę, chwilami prawie wcale oddechu nie słyszał.

Na biurku paliła się lampa, przysłonięta zielonym abażurem; pośrodku pokoju leżał pies, nastawił uszu, sierść najeżył i bacznie wpatrywał się w chorą. Od czasu do czasu warczał zcięha. Podnosił głowę, wodził oczami dokoła, jakby zdumiony i zaniepokojony, stulał uszy, pysk przyciskał do posadzki, leżał jak martwy, spoglądając zukosa w ciemny kąt pokoju.

Doktor stał przy szezlongu, dostrzegł lekki ruch warg uspionej, schylił się, słuchał niepochwytanego szeptu. W głębokiej ciszy usłyszał leciuchny szelest. Natężył wzrok, stłumił oddech, rozejrzał się po pokoju. Pies podniósł się na przednie łapy, sierść nastroszył i wodził wzrokiem od drzwi do szezlonga. Warknął, zerwał się i stanął jak wryty, podwinąwszy ogon; przysunął się do pana, drżał przytulony do nogi i raz po raz na drzwi się oglądał.

Pot wystąpił na czoło doktora, w uszach mu dzwoniło. Skupiał uwagę, natężał wzrok i słuch, a pies drżał mu u nogi, wpatrzony w ciemny kąt za szezlongiem.

Z biurka ówiartka papieru zsunęła się na ziemię, jakby zdmuchnięta, pies warknął i jeszcze silniej do nogi się przycisnął. Chora jęknęła głucho.

Doktór badał puls, rękę do czoła przyłożył, a jednocześnie łowił uchem leciuchy szelest, powtarzający się w różnych punktach pokoju.

Naraz uczył chłodny powiew za plecami; obejmował się, ręka chorej drgnęła w jego rękę.

Jeszcze chwilę.

Pod palcami czuł puls zamierający. Chłodny powiew powtórzył się raz jeszcze. Chora wyszeptwała kilka wyrazów zwolna, z wysiłkiem; pochylił się ku niej rozpromieniony.

W tem pies zaszczekał i rzucił się gwałtownie ku drzwiom.

We drzwiach stanęła matka przerażona, z szeroko otwartymi oczami.

— Panie... tam głos jej słyszałam... Ona cierpi! Nie chcę... tych leków!.. Nie chcę, dość już! Bóg pana ciężko za nią skarże!

Odrząciła go ręką, ujęła dziewczynkę pod ramiona i posadziła na szeslongu.

Jasna główka opadła na piersi, jak martwa.

Pies patrzył to na matkę, to na córkę i machał ogonem.

Doktór zżymał się; w pierwszej chwili chciał ją za drzwi wyrzucić, spojrział na twarz i spuścił oczy...

Zbudził chorą, podał szklanke wina.

Matka odrząciła rękę ze szklanką.

— Precz! Nie zbliżaj się i nie patrz na nią!

Zadrżała całym ciałem, głos zamarł jej w piersiach.

Siedziała na szezlongu; dziewczynkę w pół objęła, a drugą ręką do piersi tuliła.

— Moja... moja... biedna!..—szeptała drżącym głosem.

Zarzuciła jej obie ręce na szyję, tuliła do piersi, przerażona, jakby zdziczała z bólu i strachu.

— Dręczył! Pastwił się!.. Bodaj on tyle dni konał, ile razy za drzwiami siedząc, jęk jej słyszałam!.. Biedna... moja... Oh!..

— Bodaj on sam duszę swoją przeklął, tak jak ja go teraz z całej duszy przeklinam!

Doktór chodził koło biurka, układając papiery i książki; ręce jego drżały zlekka.

Słuchając przekleństw, skinął głową.

Był zupełnie spokojny, jak zwykle, ile razy spotkał się z ludzką głupotą i niesprawiedliwością.

IV.

Księżyc wysuwał się zwolna z po za lasu; szary zmrok słał się po polu; w powietrzu czuć było lekkiego przymrozek...

Po szerokiej piaszczystej drodze toczył się powóz wśród cichej, rozległej przestrzeni, otoczonej pierścieniem lasu...

Doktór, otulony pledem, w czapce nasuniętej na czoło, palił cygaro.

Struś gwizdał fałszywie, rozglądając się po polach.

Cisza, księżyc, zapach suchego rżyska usposobiły go melancholijnie, a melancholię miał nie tyle smutną, ile szpetną.

Przypomniawszy sobie, że jak w tej chwili, tak i przez całe życie zawsze był czyniś mimowolnym towarzyszem, interesował się cudzą biedą, przejmował się cudzą sytuacją, gryzł się, martwił, wściekał, wyczekiwał, doznawał zawodów i rozczarowania; a gdy już krwi sporo napsuł, sporo czasu zmarnował i sił nadwyrężył, gdy już był niepotrzebny, a nawet czasem zbyt, usuwał się, rozważał i po namyśle dochodził do przekonania, że nie powinien był brać do serca cudzej sprawy, że obeszliby się bez niego... że on zawsze jest tylko... piątym kołem u wozu!

Przestał gwizdać, splunął przez zęby i wpatrzył się w złotą tarczę księżyca nad ciemnym lasem.

Sam zaproponował doktorowi, że z nim pojedzie, licha wie po co? Widział go przygnębionym, zmęczonym, nie chciał puścić samego. Przez całą drogę nie przemówili do siebie ani słowa; w Jaworzu nie będzie mu potrzebny, ale zato wrócą razem.

Spoglądał z ukosa na zamyśloną twarz doktora. W myślach jego czytać nie próbował, widział brwi ściągnięte, głęboką zmarszczkę na czole, przygarbione barki.

— Hm, dobrze zrobił, że z nim pojechał. I znów zaczął gwizdać fałszywie.

W Jaworze był ostatni raz przed dziesięciu laty Szpetna, trochę śmieszna francuzka przyłgnęła wówczas do niego.

Najszeptniejsza kobieta, jaką w życiu spotkał, i... najbiedniejsza! Sama jedna wśród obcych, tęskniła strasznie. Śmieli się z jej egzaltacji, a ona na tę śmieszność — umarła!..

Miał dla niej dużo współczucia, a jej się zdawało, że ją kochał. Ostatnie dni życia miała jasne, opromienione urojonem szczęściem, zgasła z myślą o nim, szpetna, garbata dziwaczka... jedyna kobieta, która go szczerze kochała.

Pójdzie na jej grób w Jaworzu. On jest jedynym człowiekiem, który o niej pamięta...

Jak to czasem los dziwnie ludzi kojarzy!..

Wspomnienia takie grzeją może więcej, niż szczęście, które się z czasem w przesyłt przemienia...

No, tak, musi przyznać, że miał i dobre chwile w życiu!

Zaśmiał się zcicha.

Doktór spojrział na niego i podrzucił ramionami nieznacznie.

Zbliżali się do dworu.

Wjechali w błotnistą ulicę wioski. Po jednej stronie drogi szereg chat wieśniaczych, w których okienkach migotały światła; po drugiej, wzdłuż zabudowań gospodarskich zcicha szumiały brzozy.

Psy wypadły na drogę z głośnem szczekaniem.

Doktór się ocknął, podniósł głowę, wpatrzył się w ciemny bukiet drzew na wzgórzu.

Na ganku stała Pola.

Księżyc oświetlał dziedziniec otoczony drzewami, z olbrzymim klombem pośrodku, duży dom wprost bramy rzucał skośny cień do połowy podwórza, zakończony kominami, z których unosił się lekki obłoczek dymu.

Stłumiony turkot powozu dolatywał z oddali, cichł na chwilę i znowu się odzywał głuchem echem po polach, światłem księżyca zalanych.

Pola turkot słyszała już od godziny, a że drogę znała dobrze, wiedziała, że dopiero dojeżdżają do grobli i dobry jeszcze kawał drogi mają przed sobą.

Zdawało jej się, że słyszy trzask suchych gałęzi, któremi świeżo drogę wysłano... jak również zdawało jej się, że patrząc na lipę pośrodku klombu, widzi leciuchne drganie żółkłych liści, które migają jak złote gwiazdki w srebrzystym świetle księżyca!

Złudzenie!

Ściągnęła brwi i przymknęła oczy.

Te ciągle złudzenia wzroku i słuchu dręczyły ją i niepokoiły.

Starła się ukryć to przed otoczeniem, ale znać to w zbytecznej troskliwości, w lekceważącym pobłażaniu.

Dobrze, że go niema! Rozmówi się sama z doktorem; powie mu wszystko, może ją chociaż od halucynacyi uwolni...

Dwa dni już czeka na niego... Wczoraj i dziś widziała go parę razy takim, jak przed dziesięciu laty, tylko z innym wyrazem twarzy. Ponury, milczący, wpatrywał się w nią uporczywie szaremi oczami.

Od tego wzroku krew jej krzepła w żyłach, serce zamierało.

Halucynacya!

Zapamiętała jeden szczegół w jego ubraniu. Miał piękną podłużną perłę w krawacie... Czy też taką perłę mieć będzie?..

Tyle już razy podobne drobnostki przewidziała we śnie i na jawie...

Boi się trochę—teraz szczególnie, kiedy zmrok zapadł, a w księżycowej ciszy myśli swoje, uczucia, widzi i słyszy wyraźniej.

Boi się... Od paru dni łańcuszek i medalion z włosami matki, który nosi na piersiach, pali ją jak ogniem. Zar ten ogrzewa ją całą; czuje, że już na dziedziniec wjeżdżają.

— A może... to nie on!

Uśmiechnęła się smutnie...⁷przecucie nigdy jej nie zawodzi. Nieraz widzi jasno drobne szczegóły, które ledwo za miesiąc mają nastąpić; wogóle do-
tąd wiedziała prawie zawsze, co ją miało spotkać jutro.

Nie zdawała sobie sprawy z tej świadomości, aż w chwili, gdy coś się stało, co wyraźnie przewidywała.

Dziś obudziła się z dziwnym wrażeniem. Otworzyła oczy i ujrzała jakby ścianę z mgły czarnej...

Wpatrywała się z natężeniem. Kilkakrotnie zaciskała powieki. Gęsta, czarna mgła stała przed nią, falując zlekka...

Zjawisko to powtórzyło się w słoneczne południe, gdy szła ścieżką po łące...

Stała jak wryta, jak gdyby naraz droga skończyła się przed nią na zawsze.

Nie poszła dalej; wracając, oglądała się kilkakrotnie na owo miejsce. W słonecznej atmosferze pod sklepieniem niebieskim nie drgał ani jeden ciemny punkcik.

Halucynacya!

Cały dzień zostawała pod wpływem tej halu-

cynacyi. Mąż czegoś się domyślał; patrzył na nią badawczo.

Ach, jak ją ta „komisyja śledcza” dręczy!... W jego wzroku nie dostrzegła nigdy współczucia, troskliwości, nic, prócz zdumienia i strachu.

Usiłuje nauczyć ją myśleć porządnie, drętwieje z przerażenia, ile razy ona swoje wrażenia opowiadać zaczyna.

On strasznie ma tępe zmysły; i umysł czasami wygląda, jak nakręcony manekin, który mówi, myśli, rusza się dotąd tylko, aż sprężyna wyjdzie; siła jakaś nakręca go ponownie i on znów tak samo mówi, myśli i tak samo się porusza. Czego niema w programie, tego ani odczuć, ani zrozumieć nie potrafi nigdy.

I to on nazywa porządnem myśleniem. Manekin!

Dobrze, że go dziś niema. Wtrącałby się do jej rozmowy z doktorem, paraliżowałby jej swobodę swoją systematyczną, porządną rozmową; zmroziłby może ten prąd szczerości i sympatyi, który dopomoże doktorowi do zrozumienia jej choroby.

Tyle razy zaczynano ją leczyć, a żaden z lekarzy nie chciał zrozumieć, że lekarstwa tylko powiększają cierpienia; będąc w kuracyi, traciła sen, apetyt, wpadała w odrętwienie, graniczące z letargiem.

I teraz nie pomyślałaby może o kuracyi, gdyby nie to, że postanowiła być zdrową.

Coraz częściej dawano jej do zrozumienia, że jest anormalną, że wyszła zamąż, dzięki tylko znacznej fortunie. Mąż jej, to karyerowicz, ucziwy człowiek nigdyby się z nią nie ożenił.

Kuzynki, przyjaciółki, nadmieniały jej o tem niby ostrożnie, a ona po każdej takiej rozmowie drętwiała, z obojętnym uśmiechem na ustach, który całkowiec usprawiedliwiał nazwę „głupiej lali”, nadawaną jej za plecami przez całe otoczenie.

Głupią nie była; tylko to codzienne, drobiazgowie życie nie interesowało jej wcale. Chwilami zdawało jej się, że ludzie chodzą, mówią, jak przez sen, głosy mają bez dźwięku, a słowa płyną tak leniwie, że słuchać nie warto.

Nie słuchała. Zasunięta w bujającym fotelu, przesiadywała całymi godzinami, nieruchoma, milcząca, wpatrzona w drgające promienie słońca, które się zmieniały w płomieniste gwiazdy, w deszcz złoty, w mgłę słoneczną, napełniającą całą przestrzeń dokoła.

W tem zapatrzeniu miewała czasami widzenie prześliczne; widziała krajobrazy nieziemskie, a przynajmniej, jakich na ziemi dotąd nie spotykała, chyba w opisach; ale opisy w porównaniu wyglądały, jak spłowiały fotogram. Widziała znajome twarze, ale ci ludzie wydawali się zupełnie inni, milczeli, a pomimo to, rozumiała ich myśli i oni ją rozumieli stokroć lepiej, dokładniej, niż po najdłuższej rozmowie.

Cały ten świat, ponad mgłą słoneczną widywany, wydawał się jej istotnym, prawdziwym światem, gdzie życie bije żywszem tętnem, obrazy i postacie wyraźnie wykończone; ruchu, głosu, nie zauważyła, a pomimo to wiedziała, że całe otoczenie żyje, czuje i myśli.

A w końcu widziała zwykle siebie samą zdaleka, za mgłą złocistą, w bujającym fotelu, z rękami na poręczach, z szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami.

Twarz blada, usta drgające zlekka, krople potu na czole.

Przy fotelu zabawnie zafrasowane figury ciotki, dwóch rezydentek i starej niańki. Drepcą, kiwają głowami, załamują ręce, czasem przykładając do nosa mniejsze i większe flaszeczki, roztargnione, bezmyślne, niemrawe jakieś; pomimo przerażenia, prostują się, mówią i robią, jak przez sen...

W ostatnich czasach do zafrasowanego fraucymeru przybył mąż, z rękami w kieszeniach spodni, z miną zdumionego turysty, stawał po prawej stronie fotelu, przechodził na lewą, patrzył w twarz, dotykał chłodnej ręki, a gdy wszystkie naraz kobiety pochyliły się nad nią, ratując każda po swojemu, on odchodził, stawał w oknie, gryzł paznogie, albo, wyjąwszy wykałaczkę z kieszonki od kamizelki, czyścił zęby.

Te mgliste zafrasowania, jakaś niedołączna rozpacz, śmieszyły ją i bawiły zarazem... Wiedziała, że w każdej chwili, gdy zechce, będzie zdrowa i silna... tylko, że jej się nią chciało... Sniłaby tak na jawie całymi dniami... Śmiała się zcicha z pocziwych kobiet... Przyczem twarz zachowała wyraz śmierci, a tylko lekki szmer jakby stłumionego śmiechu rozlegał się w mgłę słonecznej.

Kobiety spoglądały na siebie przerażone. Mąż zbliżał się, poruszał wargami, mrugał, machał jedną, to drugą ręką, kiwał głową potakująco. Widocznie mówił coś z wielką precyzją, z silnem przekonaniem, a tak był podobny do świeżo nakręconego manekina, w którym sprężyna działa z całą energią, że mimowoli śmiała się z niego, chociaż słów do słyszeć nie mogła.

Stłumiony śmiech rozlegał się wyraźniej w mgłę słonecznej.

Mąż podrzucał ramionami i wychodził z pokoju.

Z tych napadów letargicznego omdlenia postanowiła wyleczyć się jak najprędzej! Pragnęła wzmocnić wolę, zdobyć się na siłę i energię, żeby w chwili, gdy ją chęć do snu ma jawnie ogarniać zacznie, mogła oprzeć się pokusie, żeby mogła zatrzymać w sobie tę część duszy, której jak gdyby ciasno było w wątłym ciele i dlatego wrywa się od czasu do czasu w świat szerszy... w krainę jakąś lepszą... wyraźniejszą!

Czy doktor ją zrozumie? Czy i on zechce leczyć ją tylko bromem i żelazem? Czy wogóle jest na świecie człowiek, któryby stan jej mógł dokładnie zrozumieć? Ona sama, zdając sobie sprawę z doznanych wrażeń, określić je i opowiedzieć może... A te obrazy, które słowami oddać usiłuje, wyglądają tak blado, niemrawo, jak ruchy i czynności rozpaczonych kobiet, widziane przez mgłę złocistą, gdy ją w omdleniu cucić usiłują!

Powóz wjechał na dziedziniec. Pola podniosła głowę, wyprostowana, stłumiła oddech... szal zsunął się jej z ramion, odkrył wysmukłą figurę w jasno-popielatej sukni, ujętej srebrnym paskiem.

Ładna, bladawa twarz ożywiła się nagle, w ciemnych oczach błysnęła nadzieja i... przerażenie!...

Gdy powóz stanął przed gankiem, zbiegła, zsunęła się raczej, jak wiotki cień po schodach, wyciągnęła ręce.

Na razie w półcieniu nie mogła poznać doktora, wzrok jej padł na podłużną perłę w krawacie, a jednocześnie spotkała siwe, badawcze oczy, zimne, pomimo uprzejmego uśmiechu!...

Nogi pod nią zadrżały. Słowa przemówić nie mogła, podczas gdy doktor całował kolejno obie jej

ręce i podziwiał, że z małej niegdyś Poli wyrosła śliczna pani bratowa!

Objął ją w pół ramieniem i jak piórko wniósł na schody, wesoły, ożywiony, rozgrzany raptownie, podczas gdy ona oddechu złapać nie mogła pod wpływem nieokreślonego wrażenia.

W oświetlonej sieni raz jeszcze obrzucił ją wzrokiem od stóp do głowy; wątła, bledziutka, z wytrzeszczonemi oczami cofnęła się o parę kroków, oczu z niego nie spuszczając.

Zaśmiał się; ostry, ochryply głos przykrość mu sprawił.

— A pan mąż?—spytał nagle z powagą.

Serce waliło, jak młotem, krew żywiej krążyć zaczęła po kilkogodzinnem siedzeniu.

Zdjął śpiesznie palto, zatarł ręce, podał ramię bratowej.

— Kiedy wróci? — spytał — prowadząc ją do sali jadalnej.

Czuł, że drżała zlekka... Na takie wątle organizmy oddziaływał, jak burza. Uspokoi ją wkrótce... Zanadto przyglądał się jej na razie... Bardzo do matki podobna... Brzydsza tylko i nie taka... anielska!

Pola uspokoiła się stopniowo, po kwadransie rozmawiali wesoło, siedząc obok siebie na długiej, ceratowej kanapie w jadalni.

Doktór żartował ze swojej starości, przypominał, jak małą Polę huśtał na kolanach, uśpioną odnosił do łóżeczka, jak opowiadał bajki...

— O upiorach!... — szepnęła Pola, podniosła ramiona i przeciągnęła się, jak senna kotka.

Doktór trzymał jej rękę w swoich dłoniach, przyjemne ciepło ogarniało ją zwolna; przenikliwe

oczy spoglądały łagodnie... Przysunęła się do niego bliźniutko, z głową przechyloną na ramię, zapartazona w jego twarz rumianą; uśmiechała się do niego, do wspomnień, do swoich lat dziecinnych...

I zdało jej się naraz, że się zbudziła z długiego snu przykrego; apatya, odrętwienie, niepokój, chaos w myślach, wszystko to, co ją dręczyło w ostatnich czasach, co jeszcze dziś gnębiło ją od samego rana — zniknęło gdzieś bez śladu... zapanował błogi spokój.

Czuła łagodzący wpływ wzroku doktora, wsłuchiwała się w jego głos miły, głęboki. Wydawał się jej coraz sympatyczniejszym... Dziwiła się w duszy, że się go zlekła narazie; trwożne przeczucie, to resztki tej choroby, z której on ją wyleczy...

— Taki... dobry! — szepnęła w duszy, mrużąc oczy zlekka... — matkę moją leczył... taki mądry... Ach, co ja mu powiem?...

Było jej tak dobrze, tak błogo na duszy, że nawet wspomnienia nerwowych przypadłości zatarły się w pamięci! Usposobieniem, duszą cofnęła się do lat dziecinnych i pragnęłaby zasnąć pod tem wrażeniem...

Kiedy doktor zaczął mówić o jej matce stłumionym głosem, przymknęła powieki, zdawało jej się, że widzi swoje łóżeczko z balastami, białą pościółkę... siebie w czepeczku, pod niebieską kołderką... a przy łóżeczku widzi matkę, słyszy jej głos łagodny, pieszczony...

— Senna jesteś? — rzekł doktor i ścisnął zlekka jej rękę w dłoniach.

Otworzyła oczy; patrzyła na niego z uśmiechem.

— Dziś... cały dzień byłam na dworze... na słońcu...

Przypomniała sobie ścianę z mgły czarnej; dreszcz ją przebiegł, podrzuciła ramionami.

Doktór gładził jej rękę, wpatrzony uważnie w bladą twarzyczkę.

-- A cóż, 9-ta dochodzi... dawniej o tej godzinie już spałaś...

— A kolacya?

Zaśmiał się; skrupuł ten i dawniej nieraz występował na scenę, gdy ją chciano wcześniej do snu ułożyć.

Pola ściągnęła brwi.

Dotąd w rozmowie z doktorem zachowała się banalnie, po dziecinnemu... głupio! Odpowiadała krótko, jak gdyby ją nie stać było na najzwyczajniejszą rozmowę...

Ilekroć chciała go się o coś spytać, myśli się płątały, uśmiechała się bezmyślnie. I on ją traktował, jak głupiego podlotka! Odrazu zaczął do niej tak przemawiać i mimowoli zastosowała się do jego tonu, chociaż to nie leżało wcale w jej usposobieniu.

Dziś już... niech tam. Jest tak znużoną, senną, że woli słuchać, niż mówić... Jutro poznają się lepiej...

Zasiedli do kolacyi. Doktor naprzeciwko Strusia, Pola na honorowem miejscu gospodyni, naprzeciw niej—niezajęte miejsce starej ciotki, chorej na migrenę.

Lampa, zawieszona u sufitu, świece w kandelabrach — oświetlały srebrną zastawę, kryształowe karafki, kieliszki i szklanki; tęczowe odbłyски w kryształach zlewały się z blaskiem srebra, ze śnieżną białością serwet i obrusa.

Pola, z głową wspartą na dłoni, wpatrywała się w błyszczące promienie, które otaczały pyszny kosz srebrny pośrodku stołu; promienie niknęły, chwilami zlewały się w tęczową aureolę, to znów dzieliły się na cienkie, ostre smugi świetlne, niknące stopniowo ponad świecami.

W wypukłych rzeźbach kosza migotały płomyki świec... dziesiątki, setki drobnych, ruchliwych płomyków drgało na powierzchni kosza...

Pola zmrużyła oczy; czuła, że jako gospodyni, powinna rozmawiać, zapraszać... Świadomość ta znikła powoli; goście jedli dobrze, pili jeszcze lepiej. Doktor nalał jej pół kieliszka starego wina, trącił swoją szklanką w kieliszek, namawiał, żeby wypila.

Potrząsnęła głową przecząco.

Słyszała, jak śmieli się obaj ze Strusiem, jak tracając się szklankami przez stół, wypowiadali jakieś życzenia ochryplym, stłumionym głosem; słów nie dosłyszała.

Sen ją ogarniał...

Po kolacyi, gdy Pola chwiejnym krokiem odchodziła do swego pokoju, doktor przeprowadził ją wzrokiem.

Zapalił cygaro—rozejrzał się z wolna po sali.

Stare wino zaczęło działać; dopijał czwartej szklanki.

Wzrok się rozjaśnił, pamięć odmłodziła.

— Pola dziwnie do matki podobna!

Rozbierał w myślach jej rysy, oczy; wspomnienia się plątały... raz widział matkę, raz — córkę... Uśmiechał się do obu, mrużył zażawione oczy.

Wylał resztę wina z butelki do szklanki i zapalił nowe cygaro.

— Biedna kobieta!

Rozrzewniał się nad jej wątłym wyglądem, przypomniał sobie czerwoną fizygnomię Oborskiego, z rudemi faworytami i—zaciśnął zęby...

Naraz uczył jakby wyrzuty sumienia...

Powinien był przeszkodzić temu małżeństwu—znał przecież grubą, szorstką naturę swego kuzyna...

Powinien był to zrobić przez pamięć dla tamtej...

Jak drogą była mu Pola, przekonał się dopiero dziś, teraz; przekonywał się coraz bardziej, gdy myślał o niej, popijając stare wino.

— Biedne dziecko!

Nerwowe strasznie! Spostrzegł to odrazu i... ucieszył się, jak podłe bydło!... Tak, rad był, gdy spostrzegł, że działa na nią z piorunującą siłą! Wpatrywał się, jak w swoją ofiarę, a serce biło mu radośnie, gdy widział, że biedaczka poddaje się bez oporu...

Ułożył już nawet cały plan prób i doświadczeń... Ze materiału był niezwykle podatny — nie wątpił ani na chwilę...

Zżymnął się, odtrącił pustą szklanę; z cygarem w zębach zaczął biegać po pokoju.

On miałby ją narazić na takie męczarnie...

Przed oczyma stanęły medya, wijące się w transie, z wyrazem cierpienia na wykrzywionych twarzach, z pianą na ustach, z zaciśniętymi zębami, głuchym jękiem błagające o litość.

Zżymnął się.

Ni z tego, ni z owego, stanął w oknie obok Strusia, objął go za szyję i pocałował w policzek...

— A co! Stare wspomnienia chodzą po ko-

ściach?—spytał z młodzieńczą brawurą.—I ja tu odżyłem. Kto wie, może odnalazłem część duszy, tę najlepszą, którą się traci za młodu raz na zawsze... Tyle się tu przecierpiało, tyle przemyślało, że pobyt taki bez śladu przejść nie mógł. Wróciłem, a zostawione tu niegdyś myśli i uczucia wyszły na moje spotkanie.

Struś słuchał, wpatrzony w podwórze, zalane światłem księżyca.

— Jutro idziemy na polowanie — mówił dalej doktor—potrzebuję ruchu, powietrza, natury. Wiesz co—dodał ciszej—czasami zdaje mi się, że zadaleko odbiegłem od rzeczywistego życia, że się oddałem zbyt gorliwie jednej jedynej idei—spróbuję godzić jedno z drugim, póki czas... Ech, głupi Mefisto, wyrzekł się swojej roli, a miałby tyle do zrobienia na świecie...

Struś poklepał go po ramieniu.

— Pijanyś, kochanku.

— Ja?

— Nie ja przecie!

Doktor podrzucił ramionami z wesołym uśmiechem.

— Jeżeli tak działa wino, od dziś zaczynam się upijać! Wiesz co?... Et, znowu powiesz, żem pijany, a ja tylko obejrzałem się na przeszłość i odżyłem trochę, o ile zmęczony życiem biedak może odżyć pod wpływem...

Machnął ręką.

Chwilowa wesołość przechodziła w melancholię, gorąco mu było przytem; zdjął krawat, położył na oknie, poruszył szyją w obcisłym stojącym kołnierzyku...

Westchnął.

Wsunął głowę w szerokie ramiona, twarz przybrała zwykły, ponury wyraz.

Przez drzwi otwarte na oścież widniał ciemny salon.

Smugi światła księżycowego słały się po posadzce, oświetlały fortepian wysunięty na środek, z nutami na pulpicie, z szeregiem białych klawiszów...

Doktór wszedł do salonu ociężałym krokiem; usiadł przy fortepianie.

W ciemnych kątach na białych kolumnach stały wazy z kwiatami.

Woń rezedy i heliotropu napełniała pokój; cho tu było i chłodno od srebrnego światła księżyca...

Doktór zatarł ręce, wziął kilka akordów, spróbował klawiatury szumnym pasażem; po krótkiej pauzie grał preludium Chopina, kończył i znowu zaczynał; ręce mu drżały, gryzł wargi, wsłuchany w ukochaną melodyę; tą pieśnią skarżył się przed przeszłością, otwierał duszę przed zmartwychwstałym wspomnieniem.

Stary zmęczony samotnik!

Grywał tak dla niej dawniej...

Słuchając, snuła się wzdłuż pokoju od jednych drzwi do drugich; ile razy obejrzał się przez ramię, widział całą jej postać wysmukłą na tle okien...

A on całą swą duszę wlewał w melodyę, mówił o swej miłości gorącej, pokornej, wiecznej!... powtarzał gwałtowne przysięgi i błagał o litość...

A gdy stanęła przy fortepianie — spokojny obojętny, nieco zdławionym głosem zapytywał, czy jej nie chłodno i radził iść na spoczynek.

Cierpiał, jak potępieniec!

W oddalonym kącie parku jest jawor, pod

którym ryczał nieraz, jak lew zraniony—pójdzie go jutro obejrzeć.

Od preludyum przeszedł do melancholijnego walca.

Hm, dziś gwałtownych uczuć nawet w muzyce oddać nie umie; zmiękł, ocieężał i wystygł!...

Dlaczego jednak z pomiędzy tylu miłości i miłostek to jedno uczucie niewypowiedziane na zawsze zostało w pamięci?

Od walca znów wrócił do preludyum; lepiej odpowiadało jego niewyraźnemu usposobieniu, w którym jedne klawisze już się wcale nie odzywały, inne miały ton fałszywy, a reszta nadawała się już tylko do cichej, smutnej melodyi.

— Pola bardzo do matki podobna! Oczy szczególnie!

Takie oczy widział raz jeden u zranionej sarny i odtąd nigdy już do sarny nie strzelał.

Za plecami usłyszał szmer lekki.

Podniósł wzrok, wpatrzył się w białą kolumnę w kącie i słuchał, grał coraz ciszej... Delikatne pianissimo zlewało się z wonią heliotropu, ze srebrnymi smugami księżyca, rozpływało się w chłodnej atmosferze pokoju...

Towarzyszyło mu ciche, przeciągłe westchnienie.

Doktór nie wątpił, że gdy się obejrzy, ujrzy na tle okien snującą się wysmukłą postać...

Grał dalej machinalnie... Sam nie wiedział, dlaczego zwleka... Łowił uchem szelest i westchnienia, powtarzające się raz po raz.

Skupił myśli, usiłował pozbyć się rozrzewnienia i... pewnej ocieężałości, która go wskutek tych wspomnień ogarniać zaczynała... Pragnął fakt ten

zaznaczyć z całą świadomością zupełnie trzeźwego umysłu...

Zacisnął powieki, a kiedy znowu oczy otworzył, widział dokładnie w kącie za fortepianem białą marmurową kolumnę, majolikową wazę, każdy niemal kwiatek widział z osobna...

Wzrok miał zupełnie jasny, wybornie zdawał sobie sprawę z całego otoczenia.

Obejrzał się zwolna.

We drzwiach od gabinetu stała Pola, ramieniem o drzwi oparta.

Głowę pochyliła na piersi, oczy miała zamknięte.

Spała.

Doktór ręce opuścił na kolana i zwrócił się ku niej ostrożnie.

Twarz jej rozjaśniała się, szare oczki zamigotały w ciemności.

Wstał, cichym kocim krokiem zbliżył się do niej; wyciągnąwszy szyję, słuchał przez chwilę jej równego oddechu—spała!

Krew mu uderzyła do głowy, wyprostował się, odetchnął z całych piersi.

Stał, namyślając się, co z nią zrobić, a wzrokiem obrzucał nikłą postać, przytuloną do drzwi... na zbladłych policzkach długie, czarne rzęsy rysowały się wyraźnie.

Ujął ją wpół ostrożnie, głowę na swoim ramieniu ułożył, przeprowadził ją przez gabinet do sypialni, położył jak senne dziecko na otomanie, podsunąwszy poduszkę pod głowę.

Westchnęła zcicha i otworzyła oczy. Doktor jakby się zląkł tego przebudzenia.

Machinalnie, bezwiednie prawie, przesunął kilkakrotnie rękami nad twarzą...

Spojrzała na niego wzrokiem zramonej sarny i przymknęła powieki.

Stał przy otomanie zaniepokojony, jakby zmieszany.

Ujął za puls. W głowie mu szumiało, palce drżały, puls do badać się nie mógł...

Rozejrzał się po pokoju.

Biała lampa, zawieszona u sufitu, słabo oświetlała duży pokój, obity granatowym sukmem, wysłany popielatym dywanem w czerwone kwiaty.

Znał ten pokój, przepędził tu nie jedną noc bezseną... tu, na tej samej otomanie.

W kącie, za chińskim parawanem, stało łóżko; toaleta między dwoma oknami połyskiwała mnóstwem kryształowych i srebrnych gracików.

Wszystko po dawnemu.

Poła uśpiona, z odrzuconą głową, z bolesnym uśmiechem na wykrzywionych wargach, uderzająco była do matki podobną!

Jęknęła głucho, wyprężyła się i jakby wstrząśnięta niewidzialną siłą, podrzuciła głowę kilkakrotnie.

Doktór odskoczył. Znał te objawy. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, a z piersi wyrwał się stłumiony okrzyk zdumienia, czy może stłumionej radości.

Uspokoiła się, leżała, jak martwa. Przebiegł pokój, zatrzymał się w kącie przy stoliku, nalał szklanek wody z karafki.

Obrócony do chorej plecami, nasłuchiwał. Gdzieś za ogrodem pies zawył żałośnie...

Doktór pił wodę zwolna.

Słyszał jej szamotanie się, zgrzytanie zębami, trzeszczenie w stawach...

Pił wodę i nasłuchiwał...

Bał się, czy aby jest dość silną? Czy tak wątłe medyum może się zdobyć na objaw wyraźny?

Jęki były tak słabe, jak konającego dziecka!

Dziwne miał szczęście!

Szukał, badał, czas i siły poświęcał na pochwycenie czegoś konkretnego, a ile razy zdobył pożądany materiał, siły okazywały się tak marne, że nie warto było zaczynać.

Tak było z tamtą, tak i z tą będzie!...

Przeklęte szczęście.

Postawił szklanę na tacy.

Nasłuchiwał...

Jęki i szamotania ustały.

Ha, może zmarła w konwulsjach! Przy jego szczęściu i to jest możliwe.

Obejrzał się na chorą i oniemiał ze zdumienia, postąpił ku niej parę kroków. Stał nieruchomy, stłumił oddech.

Nad głową Poli unosił się lekki, biały obłok, falował zwolna, poruszał się rytmicznie, a w ruchu tym rósł, gęstniał, posuwał się na środek pokoju, przybierając zarazem coraz wyraźniejsze kształty.

Z białej gęstej mgły wytworzyła się kształtna głowa, przysłonięta jakby białą tkaniną, fale tkaniny spływały na ramiona, osłaniały coraz wyraźniejsze kształty!

Postać, nie dotykając ziemi, posunęła się na środek pokoju, stanęła pod lampą.

Doktor stał naprzeciwko białej figury, pochylony naprzód i śledził każdą zmianę w mglistych kształtach.

Rysy twarzy formowały się zwolna.

Pola wiła się w konwulsjach, a ile razy zmęczona drętwiała na chwilę, wyraźnie już rysy widna w mgłę się rozplýwały.

Doktór posyłał jej wówczas piorunujące wejście, wpatrywał się w martwą twarz Poli, usiłując podnieść gasnące siły...

Pod wpływem jego wzroku chora drgnęła, jak trup naelektryzowany.

Mglista postać nabierała życia, usta układały się do uśmiechu, otworzyła oczy, duże, ciemne oczy Poli!

Doktór odetchnął głęboko.

Zbliżył się do niej, a cofając się ku drzwiom gabinetu, siłą wzroku pociągał ją za sobą.

Szła... posuwała się raczej wolnym, falistym ruchem.

Jeszcze parę kroków tylko!

Doktór ciągnął ją wzrokiem... Szła uśmiechnięta, jakby uszczęśliwiona tym ruchem, którego bez jego pomocy uczynić nie mogła.

W miarę, jak się oddalał od Poli, ruchy jej stawały się wolniejsze. Doktor wytężył całą siłę woli, żeby ją za próg sypialni wywabić.

Stała w gabinecie.

Zatrzasnął drzwi, a jednocześnie głuchy, przeciągły jęk rozległ się w sypialni.

Figura drgnęła—zamknęła oczy.

Blask księżyca oblewał ją całą.

Trzymał w swoich dłoniach jej miękkie, ciepłe ręce, czuł jej oddech coraz słabszy.

Pochwycił nareszcie to, o czem marzył, do czego dążył...

Miał ją przed sobą żywą; chciał porwać i nieść. Gdzie? Jak?

Stał skamieniały z zachwytu i zdumienia...

Czuł w dłoniach ręce coraz chłodniejsze, ni-
knące, jak ze śniegu; widział, jak rysy, wyraźne
przed chwilą, zlewały się w mgłę przejrzystą, a w du-
szy czuł strach przed znikającym zjawiskiem.

Raz jeszcze ścisnął ręce, ale paznogie wpiły
się już w jego własne dłonie.

Biała mgła zlała się ze smugą księżycowego
światła...

Chwilę jeszcze widział kształt ramion i głó-
wę... Na jedno mgnienie oka przez srebrzystą smu-
gę przesunęła się matowa chmurka.

Wszystko znikło.

Doktór stał pośrodku gabinetu, przed nim za-
mknięte drzwi sypialni i smuga srebrzystego światła,
a w niej unoszą się może resztki mgły, których on
już dostrzedz nie umie.

A jednak trzymał ją, miał w ręku...

— No i cóż?

Nogi wrosły mu w ziemię, nie mógł się poruszyć
z miejsca.

Dokąd pójdzie?

Na prawo, w sypialni może...

Słyszał jęk ostatni... a było to w chwili, kiedy
trzymał ręce widma. Co się tam z nią stało? Ha,
jedna ofiara więcej... a zagadka w dalszym ciągu po-
zostaje zagadką...

Gdyby tak kilka organizmów jednocześnie po-
święcić, wytworzyłyby się może odpowiedź na cie-
kawę zagadnienie...

Gdyby!...

Spuścił oczy.

Zamknięte drzwi, zarówno jak smuga światła

z resztkami mgły białawej, przykre robiły wrażenie.

Gdybyż był pewien przynajmniej, że to wszystko nie było halucynacją!..

Wzruszył ramionami i wyszedł z gabinetu.

PANIENKA.

OBRAZEK.

— *Eh bonjour!* I pan, tu? wiekuisty mistrz ceremonii.

Staruszkowie uścisnęli się za ręce.

Mistrz ceremonii, okazały, z siwą brodą, we fraku i złotych okularach, ale spocony, jak zwykły śmiertelnik, otarł czoło fularem i nadał zlekka policzki.

— Tak, trzeba ciągnąć taczkę życia, tym razem aż na trzecie piętro!—odrzekł, wchodząc zwolna na schody.—Masz pan tam kogo na pensyi?

— *Mais oui, cette petite, vous savez... la fille de cette pauvre Ada.*

Mistrz skinął głową, jakkolwiek nigdy o biednej Adzie nie słyszał.

Kroczył naprzód; staruszek dreptał za nim, wachlując się szapoklakiem. Schody na trzeciem piętrze ubrano roślinami, dwa oleandry stały na straży u drzwi otwartych na oścież. Z głębi mieszkania dolatywał szmer stłumiony, na który składały się: szelest sukien, ruch wachlarzy, przyspieszony oddech i uderzenia setki serduszek, jako też głuchy głos pięknego profesora geografii, który w tej

właśnie chwili zaczął czytać w głównej sali nazwiska uczennic, które otrzymały promocję do wyższej klasy.

Olbrzymia sala wypełniona była po brzegi; we drzwiach tłum pań i panów, którzy przy najlepszych chęciach do sali wcisnąć się mogli. Upał taki, jaki bywa na popisie pierwszorzędnej pensyi.

W głębi sali ustawiono uczennice w brązowych mundurkach, w białych fartuszkach; malutkie na przodzie, najstarsze aż pod ścianą, tworzyły zbitą masę jasnych i ciemnych główek o różowych twarzach i wylęknionych oczach.

Cała ta masa, zwykle niesforna, skamieniała na chwilę, zahypnotyzowana widokiem uroczystego personelu nauczycieli, uroczystych gości, którzy zasiedli w polkole w drugim końcu sali, matki, siostry, kuzynki w eleganckich, letnich toaletach otaczają stół, na którym złożono kilkanaście książek w czerwonych i niebieskich okładkach ze złożonemi brzegami, świadectwa i dyplomy między dwoma olbrzymiami bukietami róż żółtych i ponsowych, napełniających duszną atmosferę wonią odurzającą.

Za stołem, w fotelu o wysokiej rzeźbionej poręczy, zasiadła pani przełożona, żółta i sucha, jak mumia, w czarnej, jedwabnej sukni, w czerwonej koronce na siwych włosach; z przymkniętymi oczyma słucha długiej litanii imion i nazwisk, czasami drgnie zlekka, gdy piękny profesor przekreśli nazwisko lub imię; przed chwilą przeczytał Wanna, zamiast Wanda; na co ksiądz, siedzący po prawej stronie, uśmiechnął się nieznacznie, a mistrz ceremonii ani drgnął.

On umie zachować powagę nawet w zabawnej sytuacji, gdy pensję zaszczyca swoją obecnością.

Profesor czyta dalej; pot kroplami spływa mu po twarzy i ginie w czarnym zaroście. Nazwiska uczennic głuchem echem rozlegają się w przepelnionej sali.

Gorąco obezwładnia wszystkich. Damy przestają się wachlować; spoglądając omdlewającym wzrokiem na szeregi dziewczynek, uśmiechają się do znajomych.

Wszyscy z niecierpliwością oczekują końca, a profesorowie z przyzwyczajenia spoglądają na zegarki.

Uczennice utkwily wzrok w książki, ułożone na stole, a tylko śmielsze spoglądają po sali ukradkiem. Przekonane są, że goście ogromnie interesują się nagrodami, zapamiętują raz na zawsze tę, która zostanie odznaczoną, tymczasem z pogardą patrzą na te, które nie dostały promocyi!

Dotknięte niesprawiedliwością losu, czują gwałtowny żal do pięknego profesora za to, że tak głośno przeczytał ich nazwiska. Nie przebaczą mu tego nigdy! Chociażby rodzice oddali je na inną pensję, gdzie panuje większa sprawiedliwość, to i tam jeszcze będą czuły do niego żal i niechęć.

Gromadka nieprzejeđnanych zwiększa się w miarę czytania nazwisk.

Szczęśliwsze uwielbiają pięknego profesora, opierają się o ściany ukradkiem, gdyż bacznym wzrokiem klasowych śledzi każdy ich ruch i natychmiast przywołuje do porządku.

Dziewczynki prostują się, czerpiąc siły w niepokojach i ciekawości. Każda już po raz setny przełożyła wzrokiem książki, leżące na stole — kilkanaście sztuk za ledwie! Po dwie, trzy na każdą klasę.

Czy warto pracować cały rok, skoro nikt tej pracy uznać i wynagrodzić nie umie!

„Dorośle” w ostatnim szeregu pod ścianą mają wszystkie świeże róże przy stanikach i rumiane twarze, trochę z gorąca, ale więcej ze strachu i wzruszenia, chociaż udają, że są zupełnie spokojne, nagrodami się nie interesują — uczyły się przecież same dla siebie, nie tam dla jakiejś marnej książki.

Ładne dziewczęta, smukłe, świeże, inteligentne, rozglądają się po sali, udając lekceważenie dla książek, a jeszcze większe dla listów pochwalnych. Tymczasem jednak serca drgają w niepokoju; wszystkie wiedzą, że są trzy kandydatki do pierwszej nagrody, nagrodę zaś przyznano tylko jednej!

Mela Daktyl, ruda żydówka, wysunęła się naprzód, żeby nie stracić ani sekundy, gdy jej nazwisko wymienia. Dla niej świat cały zamknął się w tej chwili w jednej z książek, leżących na stole, w najgrubszej i najbardziej złoconej. Pracowała strasznie; wszystkie kursy umie na pamięć od początku do końca i odwrotnie, pewną jest nagrody, pomimo to drży jak w febrze!

Wysuwa się naprzód i gryzie wargi, gdy ją koleżanka nieznacznie za suknię pociągnie; wszystkie jej zazdroszczą, chciałyby ją w kąt zepchnąć, ale ona się nie da; zawsze wysuwała się naprzód i teraz nie ustąpi! Postąpiła parę kroków, drżąca, czerwona, prawie nieprzytomna ze wzruszenia.

Mania Łaszcz, śliczna jak słońce blondynka, urodą i wzrostem przewyższa cały tłum w brzozywych mundurkach. Wyprostowana, z podniesioną głową, rozgląda się wesoło po sali, przesyła całusy matce i stale udaje, że nie widzi znaków telegrafii-

cznych dam klasowych. Co ją to wszystko obchodzić może! Za godzinę wyfrunie raz na zawsze z tej nudnej klatki, ubierze się w barwne piórka i będzie jedną z najbardziej pożądanых pańien na wydaniu. Nagroda jej się należy: ma same piątki, nawet od starego matematyka, pomimo, że nigdy nie mogła się nauczyć tabelki mnożenia! Lubi książki w ładnej oprawie i cieszy się zawczasu, że wszystkich oczy zwrócone będą na nią, gdy wyjdzie na środek sali.

Cała klasa jednak przyznaje pierwszeństwo Stasi Byczek. Będą strasznie oburzone, jeżeli ją nagroda ominie!

Daktyl pilnością i spokojem pozyskała sobie wszystkie nauczycielki; za piękną Manią głosują wszyscy profesorowie ze starym matematykiem na czele. Stasia Byczek ma za sobą uznanie, szacunek i miłość koleżanek—jest najrozumniejszą i najpoważniejszą z całej klasy.

Uboga sierota, wychowana z łaski, zniosła już niejedno upokorzenie, pamiętając o tem wszystkie i potrafią okazać swoje uznanie, w razie gdyby jej się stała krzywda! Wszystkie są za nią, może trochę na złość ślicznej Mani, która za dużo myśli o swojej urodzie i zanadto lekceważy sobie całą klasę. Wczoraj na zebraniu postanowiły, że jeżeli Stasia Byczek nie dostanie pierwszej nagrody, nie pożegnają się z żadnym profesorem, a wychodząc z sali, nie spojrzą nawet na panią przełożoną.

Z niecierpliwością wyczekują rozdania nagród, a tymczasem spoglądają wymownie na Stasię, stojącą przy oknie w nowiutkim mundurku, który dziś zrana ciotka zakonnica przyniosła jej zawinięty w prześcieradło razem z nowym fartuszkiem i no-

wemi bucikami! Nowości te krępują swobodę dziewczyny, przyzwyczajonej do bardzo starego ubrania. Wie, że wśród gości znajduje się litościwa dama, która ją tak hojnie obdarzyła, i że po popisie będzie musiała podziękować jej za to. Myśląc o tem, zapomniała o nagrodzie, spuszcza oczy, żeby nie widzieć chłodnego wzroku pani przełożonej, której się obawia i nie lubi.

Pomimo to oczy ich spotykają się od czasu do czasu, wówczas obie odwracają głowy nieznacznie. Przełożona przygarnęła sierotę po śmierci swej jedynej córki... dobry uczynek miał jakoby ukoić ból, złagodzić cierpienia, wistocie zaś jątrzył bolesną ranę, budząc ukryty żal do wszystkich zdrowych i ładnych dziewczynek.

Drażniły ją pochwały oddawane tej Byczkównie, nie lubiła jej i chciała się jej pozbyć jaknajprędzej. Wszystkie te, które dziś kończą pensję, były koleżankami jej jedyńaczki; wyrosły, rozkwitły, a tamta zgasła... Byłaby taka śliczna, piękniejsza może, niż one... Z litości wychowana Byczkówna miała złagodzić w jej sercu żal po ukochanem dziecku...

Eh, banalne frazesy utarły się jako prawdy wszechludzkie; ludzie udają, że w nie wierzą, przypisują sobie i bliźnim te uniwersalne recepty, które zamiast ulgi, tylko szkodę przynoszą.

Ksiądz profesor zaczął rozdawać nagrody. Po sali rozległ się szmer zadowolenia. Małutkie, następnie starsze wychodziły jedna za drugą, sięgały drżącymi rękami po książkę, kłaniały się i wracały na miejsce, przyciskając do piersi otrzymaną nagrodę.

„Dorośle” poprawiały nieznacznie kwiaty przy stanikach. Trzy kandydatki do pierwszej nagrody

tłumiły oddech w piersiach. Nawet Mania-słońce przestała się uśmiechać.

Ksiądz profesor, z prześliczną książką w ręku, spostrzegłszy Stasię u okna, uśmiechnął się życzliwie; wiedział, że nagroda ta sprawi wielką radość siostrze Tekli, której biały kornet widział u drzwi na tle czarnych fraków i jasnych toalet.

— Stanisława Byczek! — zawołał z zadowoleniem w głosie.

Stasia stanęła, jak w ogniu, pierwszy raz usłyszała swoje śmieszne nazwisko, wygłoszone wśród tak licznego zebrania. Wolałaby może nie dożyć tej chwili.

Mania Łaszcz podrzuciła ramionami lekceważąco, a Matylda Daktyl uczuła szum w uszach i cofnęła się w kąt, za plecy koleżanek.

Przełożona przymknęła powieki, czekała aż Byczkówna odejdzie. W jej przekonaniu ta dziewczyna okradła tamtą ze zdolności, ze wszystkich zalet i nagrodę dostaje tylko dzięki temu, że tamta nie żyje... Jej Zosia byłaby przecież pierwszą uczennicą...

Ksiądz profesor przeczytał jeszcze parę nazwisk, jeszcze parę wysmukłych dziewcząt zbliżyło się do stołu, a tymczasem koleżanki otoczyły Byczkównę, która tryumfowała.

W sali zapanował gwar, zgiełk; goście oglądali rysunki i roboty; kilkadziesiąt dziewcząt ożyło nagle po godzinnem odrętwieniu, cisnęły się do matek, każda miała coś niezmiernie ważnego do powiedzenia, każdej się zdawało, że jest u szczytu szczęścia, gdyż ma przed sobą parę miesięcy swobody, wypoczynku bez lekcji i bez książek!

Przez tłum dziewcząt i gości przeciskała się

siostra Tekla, powiewając skrzydłami białego korneta. Ona była najszczęśliwszą z całego otoczenia. Jej Staśka!... Łzy szczęścia napływały do szarych oczu... Czerwona, pocziwa twarz jaśniała radością.

— Staśka... ta... panienka śliczna!

Już dotarła do okna, gdy zastęp koleżanek znów ją od Staśki oddzielił—zamieniały między sobą fotografię, przyrzekając solennie, że za trzy lata zjadą się wszystkie z mężami i dziećmi.

Staśka stała pochmurna ze wspaniałą książką pod pachą.

Siostra Tekla pociągnęła ją za rękaw mundurka.

— Stasieczko, chodź prędzej! — zawołała zadyszana — pani hrabina odjeżdża! Chodź, dziecko, przypadnij jej do nóg, za mundurek, za bućki podziękuj, to ona, ta pani dobroczynna sukienkę tobie sprawiła!

Ciągnęła ją za rękaw, wpatrzona w hrabinę, siwą, jak gołąb staruszkę, którą przeprowadzały do drzwi wszystkie panie z przełożoną na czele.

Dziewczynki się rozstały; Staśka przeszła koło nich blada, z zaciśniętymi wargami; śliczna książka wysunęła się jej z pod pachy i upadła na ziemię.

Do pani hrabiny dostęp był trudny; skłoniła głowę na pokorny ukłon siostry Tekli, na Staśkę nie spojrzała i wyszła z sali, opierając się na hebanowej lasce.

— Jutro pójdziesz do niej! — szepnęła siostra Tekla.— Jutro rano przed mszą świętą pójdziesz do tej pani czcigodnej, do tej dobrodziejki twojej, ona ci sukienkę... bućki...

— Cicho, ciociu, wszyscy słyszą, wolałabym nie mieć tej sukni... — szeptała Stasia ze łzami w głosie.

Kilkanaście dziewczynek otoczyło zakonnicę, przyglądając się kornetowi, szarej sukni, ale ona tylko Stašką była zajęta.

— Dobre czyny trzeba sławić, dziecko moje, niech młode słyszą, niech pamiętają, że wspierać ubogich, to jakby Chrystusa wspierać—mówiła, kiwając głową w białym kornecie.—Sieroctwu twemu z pomocą przyszła, niech jej Bóg zato nagrodił! Jutro pójdiesz do pani hrabiny, a teraz idź do pani Łaszcz, przypomnij, że obiecała cię na wakacje zabrać, idź, a pamiętaj, proś pokornie, żeby tę mozną panię pozyskać sobie; łaska to będzie dla ciebie wielka w pańskim domu parę miesięcy przepędzisz, a tymczasem my tu dla ciebie jakieś miejsce znajdziemy.

Patrzyła na nią rozmiłowanemi oczami, pogłodziła spracowaną ręką po twarzy.

— Panienko ty moja—szepnęła—Bóg łaskaw na ciebie, Matka Najświętsza! Taką naukę otrzymałaś, honorów takich dostąpiłaś, a wszystko przez dobrych ludzi, przez miłosierdzie! Dzień i noc za nich Boga prosić powinnaś! No, idź!

Otarła łzy i chusteczkę w rękaw schowała.

Staška stała obrócona plecami do okna; po twarzy jej przesuwały się cienie smutku i przygnębienia, każde słowo ciotki spadało na duszę, jak kamień; oglądała się nieznacznie, czy aby która z koleżanek nie słyszy i drżała na myśl, że ciotka zechce może sama panią Łaszcz o łaskę dla niej prosić.

— Pójdę—rzekła—ale nie teraz jeszcze; oni

tam wszyscy razem rozmawiają, śmieją się, nie mogą im przeszkadzać.

Wskazała głową na towarzystwo, siedzące przy stole.

Śliczna Mania królowała już w gronie znajomych, słuchała pedagogicznych komplementów panów profesorów i drażniła zalotnie swego głupiego kuzynka, który na dzisiejszą uroczystość sprawił sobie nowy frak i pierwsze ciasne lakierki; wąsów tylko większych sporządzić nie mógł, skubał tedy czarny puszek i udawał wielce poważnego z szapoklakiem pod pachą.

Pani Łaszcz, elegancka dama, w lila jedwabnej sukni, bardzo wymownie przedstawiała przełożonej, że na razie nie może zapłacić należnych dwustu rubli, gdyż musi całą wyprawę sporządzić Manieczce, która wygląda jak zakonniczka w tym brązowym mundurku, biedne dziecko, tak ją ta sukienka szpeci!

— Należność postaram się odesłać za parę tygodni—powtarzała elegancka dama.

Przełożona, sztywna i spokojna, jak mumia, oblicza w myśli, że na eleganckich matkach już tego roku straciła około trzech tysięcy rubli.

Pani Łaszcz daje wzrokiem znaki ślicznej Mani, radaby się wyrwać ztąd i zapomnieć o należności.

Dzieweczka zaśmiała się raz jeszcze, raz jeszcze błysnęła ślicznymi oczętami i szybko wybiegła z sali.

Mistrz ceremonii zbliżył się do eleganckiej mamy, powinszował świetnie wychowanej córeczki. On zawsze miał w zapasie uprzejme słówko dla ładnych dziewcząt z dobrego rodu.

Siostra Tekla upatrzyła nareszcie chwilę, kiedy przełożona została sama, zajęta zbieraniem pozostałych na stole papierów.

— Pójdę do tej dobrodziejki naszej, podziękuje raz jeszcze za ciebie, za wszystko...

Wzruszenie tamowało jej mowę, machinalnie sięgnęła drżącą ręką po różaniec u pasa.

Promieniejąca wdzięcznością, miała wciąż łzy w oczach.

— Pójdę. Bóg jej zapłaci w niebie... ja... ja tylko ręce ucałuję!

Stasia drgnęła od stóp do głowy. Raz jeszcze wobec całego zgromadzenia wywloką jej nędzę!

— Później, niech ciocia poczeka—błagała przeżonemi oczyma.

Ale ciotka potrząsnęła białym kornetem.

— Niech ludzie wiedzą, jaka ona miłosierna! Niech ją świat ceni i czei za litość nad ubogą sierotą!

Poszła do stołu.

Staśka uciekła z sali, wpadła do pustej klasy, gdzie na zakurzonych ławkach leżały stosy kajetów, okładki książek, gąbka i kawałki kredy tułały się na podłodze.

Stojąc przy drzwiach, wsłuchiwała się z bijącym sercem, czy ciotka nie pędzi za nią, żeby ją ztąd wywlec, żeby raz jeszcze, wobec „całego świata” do upokorzenia zmusić.

Gryzła wargi, a w suchych oczach błyskał płomyk żalu i oburzenia. Tyle lat karmiono ją upokorzeniem, a przyzwyczaić się jednak do tego nie mogła. Będąc dzieckiem, czuła to lepiej, niż rozumiała; wstydziła się strasznie starych sukienek,

grubych koszul, dziurawych bucików, wstydziła się nawet ciotki Tekli.

Kiedy w dzień rekreacji ciotka przychodziła do niej na chwilę, zadyszana, serdeczna, żeby ją uścisnąć, świętym krzyżem przeżegnać, a rozczulona wydostawała z ogromnej kieszeni kawałek brudnego cukru, suche ciastko, mięso zawinięte w papier, Staśka chowała śpiesznie te „prysmaki,” a następnie rzucała ukradkiem do skrzynki na korytarzu, żeby się nikt nie domyślał, że te obrzydliwości ciotka jej przyniosła.

Wobec zamożnych koleżanek wstydziła się swej nędzy, sieroctwa, opuszczenia, wiedziała, że ją uczą i żywią z łaski; ale bała się, ażeby nie dowiedziały się o tem koleżanki, a ciotka powtarzała jej to aż do znudzenia.

Oh, jak się ona obawiała tych dni rekreacyjnych! Dość zdolna, ale wątła, źle przygotowana, własnych książek nie miała prawie nigdy, douczała się z cudzych nad ranem, w łóżku, kiedy cała klasa spała spokojnie.

W pierwszym roku zapadała kilkakrotnie na zdrowiu, wtedy była mowa, żeby ją z pensyi zabrać. Coby się z nią wówczas stało — nie wiadomo; lecz już wówczas pragnęła umrzeć, a w myślach widziała szereg mogiłek, w których spoczywają dzieci-sieroty. Tam nikt już o ich nędzy nie wspomina!...

Ciotka Tekla bladła na samo przypuszczenie, że mogą ją z pensyi usunąć! Modliła się na jej intencję, odprawiała nowenny, a za każdym razem wmawiała, że jest zdrowszą, i zawsze żegnała ją samą apostrofą:

— Bój się Boga, nie choruj! Zginiesz raz na zawsze. Bóg wszechmocny szczęście ci zesłał, los

wielki! Naukę wielką zdobyć możesz z łaski dobrych ludzi! Przełożona święta, czcigodna pani! Módl się za nią rano i wieczór! A bądź dla wszystkich pokorną, uległą, cichutką, w kątku siedź sobie, żeby nikomu nie zawadzać! Pamiętaj, żeś uboga sierota, że cię tu z łaski trzymają!

Słowa te brzęczały jej w uszach we śnie i na jawie, krępowały swobodę, zatrzymywały każdą chwilę wolną od nauki. Unikała wspólnych zabaw, uczyła się fałszu i obłudy, a w najskrytszych tajnikach duszy ukrywała zazdrość i nienawiść.

Koleżanki przyzwyczyły się widywać ją zawsze nad książką; nauczycielki chwaliły uległość i pilność, a ona płakała po kątach; gdy była sama, siedziała nieruchoma, milcząca, jakby wypoczywała po tem ciągłym nałamywaniu się do wymagań, zwyczajów, których często nie rozumiała i nie odczuwała ich potrzeby.

Czasami tylko przy sposobności przymierzała kapelusze nauczycielek i przeglądała się w lustrze z pośpiechem, bojąc się, ażeby jej kto przed lustrem nie zastał. Rzucała kapelusz na lada szelest i uciekała do klasy, unosząc w myślach obraz swój widziany w lustrze: smutne, czarne oczy, bladą twarzyczkę i bardzo zgrabną, wysmukłą figurkę.

Z czasem przestała myśleć o śmierci, natomiast coraz dotkliwiej odczuwała wszelkie braki w ubraniu.

Jak dawniej, uczyła się z cudzych książek pod kołdrą, tak potem, również o świcie, zaszywała sobie buciki białą nitką, zamazując szew atramentem, cerowała ciasny stanik, naprawiała ukradkiem, żeby nie wzbudzić litości koleżanek.

Mania Łaszcz podarowała jej swój mundurek,

a uczyniła to bardzo serdecznie, całując w oczy, szyję, w usta, przepraszała, jak za grzech śmiertelny.

Staśka nie mogła jej odmówić, ale i przyjąć nie mogła.

Sukienkę powieszono w szafie, w kącie, nie należała do nikogo.

Odtąd panienki zaprzyjaźniły się z sobą gwałtownie!

Ale przyjaźń Staśki nacechowana była odcieniem urazy, niby obrażonej dumy.

Czuła to Mania, a chcąc jej wynagrodzić mimo wolną krzywdę, zamęczała ją swoją czułością.

Odkryła przed nią wszystkie tajemnice pensyonarskiego serca.

Raz nawet, pod przysięgą, że jej nie zdradzi aż do grobu, przeczytała jej list Julka Kossaka, tego samego, który dziś męczył się piekielnie w ciasnych lakierkach.

Kuzynek pisał, że ją kocha szalenie, że ani myśli kończyć głupich nauk, a w Rydze pozostanie tylko dotąd, dokąd ona będzie na pensyi, a gdy ona wróci do rodziców, on też osiadzie na wsi, a matka, która go ubóstwia, nie będzie się sprzeciwiała jego szczęściu.

Mania pokazała przytem fotografię bardzo ładnego młodoka, o arystokratycznych rysach, ze śladami wąsików, których fotograf nie zdołał uwydatnić.

Julek jest bardzo bogatym jedynakiem, ślicznie jeździ konno i już w trzeciej klasie zaczął robić długi.

Mania wiedziała, że idąc za niego, zrobi świe-

tną partycję i ze szczebiotliwością młodej sroczki rzeźbiła przed wsłuchaną przyjaciółką świetne obrazy swojej przeszłości.

Staśka słuchała całymi godzinami, powoli, prawie bezwiednie stawiała siebie w roli swej przyjaciółki: miała rodziców, dom, serdeczne otoczenie, dostatek, miała określone stanowisko w świecie jako posażna panna na wydaniu.

Świat Mani był taki piękny, słoneczny, miał tyle uroku, poezyi, tyle serdecznego ciepła, że biedna Stasia upajała się temi obrazami, wracała do nich w każdej wolnej chwili. Przysuwała się do rozszechotanej Mani, a w myślach po raz setny zwiedzała każdy kąt zamożnego domu, ogród, las, stajnię. Znała po imieniu starą szafarkę, niańkę staruszkę, dwie rezydentki, znała nawet wszystkie psy i obłaskawionego jelenia, który sam po schodach przychodził na ganek.

A gdy Mania zamilkła, Staśka długo jeszcze błędziła myślami po ciemnej, lipowej alei, nie mogąc się rozstać z przyjemną rolą zamożnej paniienki ze dworu.

Budziła się w końcu z rozkosznych marzeń, wracała do książki, albo, jak przez sen, spoglądała na swoje buciki pozszywane białymi nitkami. Czasami zdawało jej się, że to jest niemożliwe, żeby ona była tak bardzo ubogą, bez domu, bez rodziny, bez grosza przy duszy, podczas gdy tuż obok niej siedzi taka Mania, opływająca we wszystko, co tylko życie dać może.

Taki los wydał jej się największą niesprawiedliwością, krzywdą, znęcaniem się nad bezbronem sieroctwem.

Starala się nie myśleć o swojej doli, garnęła

się do szczęśliwej Mani, a gdy ta pod wpływem dobrego natchnienia zaproponowała, że zabierze ją z sobą na lato, Stasia chwyciła się tej myśli, jak zbawienia.

Mania układała codziennie nowe plany spacerów, zabaw, wizyt, opowiadała o całym sąsiedztwie, o przypadających podczas lata imieninach, na których tańczą do rana, bawią się doskonale.

A Staśka, słuchając, bezwiednie prawie zespoliła swoją dolę z jej życiem, zawczasu podzielała tryumfy i przyjemności, tęskniła już nawet do jej domu, do wykwiutnego otoczenia, do tych ludzi, którzy nigdy biedy nie widzieli zblizka, żyją wygodnie, przyjemnie, są wykształceni, delikatni i bardzo dobrzy dla wszystkich.

Wakacje potrwać najwyżej trzy miesiące, a potem...

Przymykała oczy i starała się nie myśleć o przyszłości.

Praca szła coraz oporniej, do nauki zaczęła ucuwać wstręt i zniechęcenie.

Bo i cóż jej da ta wychwalona nauka?

Ciężką pracę i tułactwo po obcych domach.

Dla ciotki Tekli nauczycielstwo było szczytem marzeń.

— Będziesz nauczycielką! — powtarzała z namaszczeniem i patrzyła na nią swemi pocziwemi oczami, które wyrażały cześć i zachwyt zarazem.

Ciotka szanowała w niej już przyszłą nauczycielkę, pracowitą, rozumną, pełną poświęcenia.

Staśka zaczynała już wierzyć w świętość tego powołania, rosła z tą myślą i zawczasu ucuwała strach przed tą pracą, do której ani zapалу, ani chęci nie miała.

W ostatnim roku zaczęła uczuwać znużenie na samą myśl o zmudnej pracy nauczycielskiej, przestała o tem mówić z ciotką, a coraz częściej marzyła o pobycie u Łaszczów.

Dom zamożny, sąsiedztwo liczne, kto wie, co ją tam spotkać może...

Przypomniała sobie sceny z powieści, których bohaterkami były ubogie nauczycielki, inteligentne, dumne, jak ona... z którymi żenili się bogaci obywatele ziemscy, albo przynajmniej jaki doktor niezmiernie szlachetny i rozumny odtrącał miłość bogatej dziedziczki, a żenił się z piękną a dumną nauczycielką.

Miała wszelkie warunki na bohaterkę, nawet jej blada twarzyczka i dość czarne oczy nadawały się do romantycznej powieści.

Byleby tylko Mania nie dostrzegła jej wyższości umysłowej, a następnie nie zazdrościła powodzenia.

Mogłoby to źle wpłynąć na ich przyjaźń i utrudnić jej pobyt u Łaszczów.

— Będę dla niej bardzo dobra i będę ją zawsze kochała, chociażby najświetniejszy los mnie spotkał—przyrzekała sobie w duszy.

Bogactwo i urodzenie w życiu kobiety grają podrzędną rolę, stokroć więcej znaczy uroda, wychowanie i inteligencya.

Słyszała to nieraz od starej Francuzki, która lubiła opowiadać o swem wielkiem powodzeniu za młodu. Nadzieja dodawała jej otuchy.

Ciotka Tekla musiała już się załatwić z przełożoną, a ona dotąd jeszcze nie rozmówiła się z Manią.

Strzepnęła kurz z nowego mundurka i wybiegła na korytarz.

W sypialni ubierała się Mania przed lusterkiem damy klasowej; koleżanki otoczyły ją, przyglądając się ślicznej toalecie.

— Stasiu, jadę na wyścigi!—zawołała.—Patrz, jaka suknia, a kapelusz...

Sukienka była z różowego batystu, kapelusz z różami, krepy świeżutkie, jak buziak ślicznej Mani.

Przy lustrze leżały dwie żółte róże, które jej ofiarował kuzynek.

Stasia stanęła przy stoliku.

— Weź sobie te róże, Stasieczko, nie pasują do mojej sukni żółtej różowej! Pana Lebeuf z czerwoną kokardą przy piernikowej sukni.

Zaśmiały się wszystkie chórem; świetność Mani podniecała ich wesołość; zazdrościć jeszcze nie umiały, a cieszyło je to, że taka śliczna panna z ich pensyi wyszła.

Stasia wymuszonym spojrzeniem starała się zwrócić jej uwagę, ale Mania szebiotała dalej o przyjemnościach, które ją czekają.

— Cały tydzień zabawimy w Warszawie, a potem zagranicę. Mama chce jechać do Trouville, tatuś radzi Ostendę. Mnie tam wszystko jedno, gdzie pojedziemy, byleby podróżować jaknajdłużej. Z geografii miałam zawsze zły stopień, ale gdy wrócę z zagranicy, będę miała więcej do powiedzenia o Europie, niż sam pan Nałkowski, zobaczycie! Może się już nigdy nie zobaczymy? Cha, cha, cha! Mnie się zdaje, że pensya, profesorowie, nawet przełożona, to był sen tylko, czasami przyjemny, często nieznośny, prawda?

Zgodziły się na to wszystkie.

— Koleżanek żal tylko—dorzuciła jedna.

— No tak, ale przestaniemy nosić mundurki. Nigdy nie kupię sobie brązowej sukni, ani kapełusza z granatową wstążką.

Wobec strojnej Mani każda radaby się pochwalić wykwiutnym gustem i świetnymi planami na przyszłość.

Stasia milczała, wpatrzona smutnemi oczami w Manię.

Po Ostendzie i Trouville niepodobna było zaimponować czemś bardziej arystokratyzmem.

Krasicka, znany leniuch, ale wesoła i serdeczna dziewczyna, oświadczyła, że wszelkie paradne kąpiele nic a nic jej nie obchodzą. Ona jedzie do Zakopanego! Sprawi sobie szarawary, serdak i zwiedzi wszystkie szczyty, nawet na Łomnicę pójdzie!

W szarawary żadna nie wierzyła, zaprzeczać jednak nie śmiały, bojąc się zdradzić z nieświadomością zwyczajów górskich.

Krasicka była z nich najstarsza, znała świat, gdyż w ostatnim karnawale była na balu u swej babki, u której nawet ksiądz biskup bywa czasami.

— Będę na Wawelu!—rzekła, rzucając po całej gromadce wzrokiem tryumfującym—było nas dwanaście pensyonarek, mogłabym dwu nie liczyć wcale, gdyż Mania zawsze sama zjadała wszystkie przysmaki, a Lola nie lubiła pożyczyc chustek do nosa, te dwie możnaby policzyć za pół pensyonarki, ale że dwanaście stanowi tuzin, jeżeli się nie mylę, niech więc i one po raz ostatni jako dobre koleżanki figurują, zgoda?

— No, cóż dalej?

— Na Wawelu złożę od nas wszystkich wieniec, ale wybór miejsca sobie zarezerwuję.

Podniósł się gwar straszny.

Projekt wywołał zachwyty, na ostatni warunek zgodzić się jednak nie chciano; domagano się głosowania.

Tylko Mania zgadzała się na wszystko, przeglądając się przez ramię w lustrze damy klasowej.

Stasia milczała.

Na wieniec będą się składały, ona nie miała ani grosza.

W końcu zgodziły się wszystkie, że wolność wyboru należy do Krasickiej w nagrodę za dobry pomysł.

Domagały się tylko, ażeby napisała o tem do każdej z osobna.

— Dobrze, dyktujcie adresy. Ty, Sobolcia, zapewne na Łysej Górze zamieszkasz; z nas wszystkich ty jedna umiałaś poskramiać starą Lebeufcię, dla ciebie niema miejsca między zwykłymi śmiertelnikami.

Sobolcia w istocie na Łysej Górze mieszkała, ale narazie nie zmiarkowała złośliwej aluzji do usposobienia.

Krasicka tymczasem notowała adresy.

Stasia czekała z bijącym sercem, co powie Mania, ale ta tylko swój adres podała.

A więc nie myśli zabrać jej z sobą?

— Ja przez lato u ciotki mieszkać będę — rzekła, zdobywając się na spokój.

— Wiem! — zawołała Krasicka. — Kocham ciotkę Teklę, gdybym miała taką świętą w ro-

dzinie, grzeszyłabym bezpiecznie, ufna w jej modlitwy.

— Cyt!.. Pani przełożona!

Zamilkły wszystkie.

Krasicka machinalnie rzuciła notesik pod łóżko.

Był to tylko żart Loli, którą z powodu figurki i śniadej twarzy „pchłą” nazywano.

— Pchła nigdy nie mądrego nie wymyśli — odezwała się Krasicka, zła, że ją na pensjonarskiem tchórzostwie przyłapano.

Podniosła notesik z pod łóżka

— Żadna z nas nie obawia się już wcale pani przełożonej, tylko „pchła”, ta chyba jeszcze ze trzy miesiące będzie sypiała w czepku z gramatyką pod poduszką, aż się oswoi z myślą, że nie jest już pensyonarką.

„Pchła” uśmiechała się złośliwie; ładna, zgrabniutka była, najsprytniejsza, lecz i najdokuczliwsza z całej klasy.

— A pocóż nas gorszysz, mówiąc o swych złych zamiarach. Możesz grzeszyć, ile ci się podobą, ale tu, na pensyi, nie powinnaś mówić o tem wobec niewinnych dziewczątek.

Krasicka uśmiechnęła się pogardliwie.

— Znać, że wczoraj jeszcze uczyłaś się francuskiej prozy za karę! Mów swój adres, ale że ci na kopercie dopiszę „pchła”, to o tem chyba nie wątpisz.

— Eh, mieszkam w Kurlandyi, a ty zamało umiesz po niemiecku; należało myśleć o tem od pierwszej klasy, kiedyś się uczyła słówek...

— Nie udawaj mądrej, bo zamaż nie wyjdiesz! Na głuchej wsi tak łatwo zepsuć sobie opinię zby-

teczną mądrością! Pamiętaj o tem, jak dorośniesz i zmadrzejesz, przyznasz, że miałam rację.

Krasicka miała już wszystkie adresy. Mania skończyła nareszcie zapinać rękawiczki; cała klasa obejrzała ją raz jeszcze od stóp do głowy.

— Śliczna!—szepnęły jednogłośnie.

Wyszły za nią na korytarz, odprowadziły ją aż do drzwi salonu.

Stasia została sama; rozejrzała się po sypialni.

Prawie ze wszystkich łóżek pościel już zabrano, pozostały tylko materace; gdzieś leżał fartuszek, stary bucik, kosz, nieład, smutna pustka wyglądała z każdego kąta.

Z podwórza dolatywał turkot odjeżdżających dorożek; za godzinę nie pozostanie żywej duszy w tym obszernym lokalu.

— Co ja teraz z sobą pocznę?

Kręciła palce jak podczas wydawania bardzo trudnej lekcji.

Wiedziała, że ciotka Tekla nie może jej zabrać, druga ciotka utrzymywała pralnię na Nowym Świecie; dzieci czworo, mąż brutal, w niedzielę upijał się regularnie; dobrzy zresztą ludziska, przychylni dla niej, ale czyż podobna żyć z nimi w suterynach wśród bahi z brudną bielizną, razem z praczkami i prasowaczkami?

Ścisnęła skronie rękami.

Coś przecież musi się stać, cud jakiś — tak przecież nie zostanie zawieszona między niebem a ziemią.

Mania, zamożny dwór szlachecki, wszystko pierzchło jak sen, dlaczego?

Szła przez puste sypialnie, przez korytarze

ciche; ruch cały skupił się w przedpokojach, na schodach, fala gości już odpłynęła, uczennice się rozpieczęły.

Przechodząc koło szóstej klasy, uchyliła drzwi, zajrzała do pustego pokoju.

Dziś zrana miała jeszcze opiekę, otoczenie, była taką jak inne, lepszą nawet... pierwszą uczennicą była.

Teraz mogła iść, gdzie ją oczy poniosą, sama jedna, niktby się nie spytał, dokąd dąży i co z sobą zrobi.

Łzy stanęły jej w oczach.

Ławki, stół, tablica, stały się naraz bardzo drogie, bardzo blizkie, jakby istoty, z którymi się żyła za lepszych czasów.

Zatrzasnęła drzwi spieszenie; koleżanki śmiałyby się z niej, że już pensyi żałuje.

W poczekalni pusto.

Ciotka Tekla siedzi na ławeczce pod ścianą, spotniała, czerwona, trochę senna, trzyma pięknie oprawną nagrodę, zawiniętą w białą bibułkę.

Uwolniła się od obowiązków do trzeciej, a tu już czwarta dochodzi; nie wie, gdzie szukać Staśki.

Śliczna Mania odjechała sama z matką, widocznie po Staśkę później przyślą... chciała się z nią rozmówić.

Możeby pani przełożona jeszcze parę dni zatrzymała ją na pensyi, parę dni tylko, dla sieroty byłoby to wielką łaską! Sen ją zmorzył, mrużyła powieki, a białe skrzydła kornetu poruszały się zwolna.

I przez jedno mgnienie zdawało się już, że widać gdzieś w głębi jasność niebieską, a wśród

obłoków jasne główki dziecinne... to jej dziatwa, ona ją strzeże, pielęgnuje, kocha jak swoją, więcej nawet, kocha za siebie i za matkę... biedactwa... sieroty!..

Ciotka Tekla często takie sny miewa.

Stasia przysiadła na ławce, pociągnęła ją zleka za rękaw.

— Nie jadę z Manią... wyjeżdżają za granicę— szepnęła ze spuszczonei oczyma.

Ciotka mrugnęła kilkakrotnie, otarła pot z twarzy, chustkę w rękaw wsunęła.

— To cóż, moje dziecko? Należało prosić, ażeby ciebie na wieś posłali, gospodarstwabyś pilnowała, dziatwę folwarczną uczyłyabyś w czasie lata; młodaś, pracować umiesz, tobyś tam chleba darmo nie jadła, a Bóg im stokrotnieby wynagrodził za przytulenie sieroty.

Patrzała jej w twarz swemi pocziwemi, szaremi oczyma.

— Nie mogę się im narzucać...

Zakonnica poruszyła się niecierpliwie, ale dostrzegłszy łzy w oczach dziewczyny, zmiękła odrazu.

— No, tak... ale cóż ja z tobą pocznę... hm. Idź do ciotki Magdy... ciasno tam u nich...

Zamyśliła się, wpatrzona w podłogę.

Szwagier upijał się czasami, taka „panienka” nasłucha się tam i napatrzy nieprzyjemnych rzeczy, cóż robić?

Jutro zabiegnie znajoma pani dobrodziejki, może jakieś miejsce do dzieci na wieś znajdzie... Bóg przecież nie opuści sierotki.

Pogłaskała ją szorstką dłonią po twarzy.

— Idź, moje dziecko, a tam ciotce w robocie

dopomóż, wujowi z drogi schodź, bo to dziś sobota, to on tam sobie dogodzić lubi, dobry człowiek, ale nieszczęśliwy... trzeba mieć wyrozumiałość dla biednych ludzi.

Stasia nie ruszała się z miejsca.

Suteryny... krzykliwa, zapracowana ciotka... wuj pijany, gromada zamorusanej dziatwy...

Chodziła tam nieraz w święta na godzinę, a po każdej bytności siedziała w kącie sama jedna, zdala od koleżanek, a pod karą śmierci nie przyznawałyby się, że była u „takiej” ciotki.

Nie, ona u nich nie zamieszka!

Zakonnica niecierpliwiła się coraz bardziej; wstała, nagrodę związała w chusteczkę.

— Siostrze Maryi pokażę—szepnęła radośnie—ona ciebie do chrztu świętego podawała. O, to się ucieszy! Idź do ciotki, przyjdę tam jutro, żeby i im nagrodę pokazać.

Pocałowała ją w czoło, poprawiła kornet, różaniec u pasa i podreptała ku drzwiom, obejrawszy się raz jeszcze na swoją „panienkę”.

Stasia uśmiechnęła się gorzko.

Mania Łaszcz nie była pierwszą miłością Stasi; przedtem istniała na pensyi, króciutko co prawda, świetna i lekka jak motyl Nina Koniecka, śliczna, elegancka, miała złoty zegarek, bransoletki, nosiła jedwabne spódniczki, wzbudzając zazdrość w całej klasie; nosiła podobno jedwabne pończochy i koszule z kolorowego batystu, ale o tem wiedziały już tylko najbliższe jej przyjaciółki, które wprawiała w zdumienie zbyt kowną toaletą i opowiadaniem rozmaitych anegdot.

Ninę usunięto z pensyi bez żadnych widocznych powodów, a wkrótce zapomniano o niej, pomi-

mo to w klasie pozostał po tej pustej laleczce jakiś ślad niepochwytny, niby woń szkodliwa, której zniszczyć niepodobna.

Stasia siedziała z nią na jednej ławce, była jej powiernicą, ona jedna nigdy nie zdradziła jej tajemnic.

Podczas gdy inne wygadywały rozmaite rzeczy — ona milczała; tylko czasami, wypoczywając, między jedną lekcją a drugą, zamyśliwszy się, zżyła się nieznacznie, zasłaniała twarz rękami.

Była u niej parę razy po książki, raz nawet z ciotką Teklą.

Babka Niny miała kantor stręczeń bon i nauczycielek, bardzo uprzejma dama, zachwycona była wizytą zakonnicy z dziewczynką, odprowadziła je sama przez całe podwórze aż do bramy, podtrzymując zakonnice pod łokieć; oglądała się przytem na wszystkie okna kilkopiętrowej kamienicy, jakby wzywając na świadków wszystkich mieszkańców, że to od niej ta świątobliwa osoba wyszła! Staškę głaaskała po twarzy i zachwycała się jej urodą!

— Pójdę do niej, może da mi jakie miejsce na wieś — rozmyślała, siedząc na ławce pod ścianą—może się obejdę bez łaski!

Czuła żal do ciotki, do przełożonej, do całego świata!

O Mani starała się nie myśleć.

Na dole rozległ się gwar.

To pensyonarki wracały z obiadu.

Staška zerwała się z miejsca i uciekła na schody.

Po drodze włożyła kapelusz, zapięła pelerynkę, biegła tak szybko, jak gdyby ją gonili cały szereg smutnych wspomnień i bolesnych upokorzeń.

W bramie odetchnęła.

Przed pierwszą szybą na wystawie poprawiła kapelusz; stała chwilę, namyślając się, czy iść do tej Konieckiej...

Raz jeszcze obejrzała się na bramę pensyi.

Trzy dorożki jedna za drugą przejechały koło niej, a z każdej odjeżdżające koleżanki przesłały jej ukłony i całusy.

— Sobolewska... Krasicka... Kończa... — szepnęła jak przez sen.

Przeprowadziła je wzrokiem do końca ulicy.

Przykro jej było, że po raz ostatni widziały ją samotną, opuszczoną, taką biedną!

Do Konieckiej zadzwoniła nieśmiało raz, drugi; stała w brudnej sionce, czekając z bijącym sercem, aż jej otworzą.

Przezedrzwi wyjrzał łysy mężczyzna w rozpiętej koszuli; uśmiechnął się i uciekł; następnie wysunęła głowę Koniecka.

— Kto, zkad, czego?—zapytała ostro—kto to panią przysłał?

Pytała przezedrzwi, usta miała otłuszczone, widocznie od obiadu przybiegła!

Stasia zapytała nieśmiało o Ninę.

Koniecka otworzyła drzwi na rozcież; wpuściła ją do ciemnego przedpokoju, oświetlonego czerwona lampą.

Przedpokój służył zarazem za jadalnię; na stole, nakrytym na dwie osoby, stały resztki kurcząt, szparagów i napoczęty krem, ubrany konfiturami.

Zapach pieczystego napędził ślinę do ust głodnej dziewczyny.

Koniecka popchnęła ją zlekka do salonu, pil-

no jej było obejrzeć przy dziennem świetle niespodziewanego gościa.

Okazała dama, w lila szlafroku, uprzejmie uśmiechnięta, posadziła Stasię obok siebie na kanapie, sapała głośno z gorąca po dobrym obiedzie, przymilona, obrzuciła wzrokiem pyszny warkocz.

— Panna Hela? Tak?

— Stasia.

— A tak, tak, Stasia Zbyszewska... Pamiętam doskonale!.. Nina bardzo panią kochała...

— Niema jej w Warszawie—dodała, przychyłając głowę na pulchne ramię. W Paryżu mieszka. Świetna dama!

— Za mąż wyszła?

— Nie, ale wkrótce wyjdzie... bogato, bardzo bogato... A panienska dawno pensję skończyła?

Ujęła jej rękę w tłuste dłonie.

— Dziś—odrzekła Stasia cichutko.

— Dziś? a to pięknie, bardzo pięknie... u rodziców mieszka?

— Nie mam rodziców

Indagacya ta, a szczególnie świdrujący wzrok Konieckiej, drażniły Stasię, ściągnęła brwi i odsunęła się od niej.

Nie podnosząc oczu, przyspieszonym głosem powiedziała, poco przyszła.

— Miejsca szukam. Umiem mało, wymagania mam bardzo skromne, chciałabym tylko znaleźć się w domu uczciwym, wśród zacnych ludzi — dodała z naciskiem, chociaż samą nie wiedziała dlaczego.

Koniecka wydawała jej się coraz wstrętniejszą.

— Kantoru już nie utrzymuję—odrzekła słodko — ale mam rozległe stosunki i chętnie przyjdę

pani z pomocą. Biedne dziewczątko—dodała jakby do siebie — młodziutkie, śliczne, a taką ciężką pracę sobie obiera! Nauczycielstwo — ciernista droga! Kaprysy matek i dzieci, a potem choroba i śmierć z nędzy! Znam ja to! Setki nauczycielek przeszło przez moje ręce! Biedaczki, żałowały nieraz, że poszły tą drogą, ale już po niewczasie... gdy zmarnowały młodość i urodę.

Stasia zerwała się z kanapy. Gospodyni zatrzymała ją za rękę.

— Niech pani poczeka, mam właśnie na widoku miejsce bardzo odpowiednie... mój dobry znajomy szuka towarzyszki do swej kuzynki, być może, iż na lato zagranicę wyjadą... zrobi pani podróż przyjemną...

— Kiedy ja chcę być nauczycielką...

Koniecka, rozparta w fotelu, uśmiechała się z politowaniem.

— Uparty dzieciak z pani! Niech tam, zobaczymy, może znajdę dobre miejsce do dzieci! Mam słabość do ładnych panienek, a pani jest bardzo ładna, nawet w tym pensjonarskim kapelusiku... Gdy się przystroimy nieco... będziemy strasznie chłopakom głowy zawracać!

Zmrużywszy oczy, kręciła zwolna głową, nasycając się treścią swych słów nader pochlebnych.

Staśka miała łzy w oczach; ścisnęła mocno parasolkę w spotniałej ręczce.

— Dziękuję pani, już ja sobie sama miejsca poszukam...

— Nie bądź pani dzieckiem, przyjdź dziś do mnie wieczorem... zabawisz się trochę i pomówimy o miejscu.

Staśka wybiegła z salonu; w przedpokoju na-

tknęła się na łysego mężczyznę w rozpiętej koszuli, który syknął w ślad za nią „a to koza dopiero”, a Koniecka, wyszedłszy za nią do przepokoju, zakonkludowała:

— Głupia dziewczyna!

Staśka biegła przez podwórze, jak nieprzytomna.

W bramie stróż domu i dwie kumoszki wybuchnęły rubasznym śmiechem.

— Od Konieckiej! dalibóg! Smarkata, ledwie od ziemi odrosła, a to Sodoma, Gomora. Aaa!

Przebiegła koło nich, wypadła na ulicę, wuszech jej wciąż brzmiał śmiech i brutalne słowa zasłyszane w bramie:

— Jak ja nisko upadłam! — szeptała biegnąc bez celu, byleby jak najprędzej uciec od tej zgrai, która pewno stoi tam przed bramą i palcami na nią wskazuje.

Zadyszana, zmęczona wpadła do Saskiego ogrodu, przysiadła na ławce pod drzewem.

— Teraz to już chyba umrę ze wstydu!

Na twarzy, na rękach czuła, jakby ślady rybich oczu Konieckiej, uniosła coś z sobą z tego nikczemnego otoczenia, uśmiech z bramy brzęczał jej wciąż około uszu.

— Oh, teraz to już chyba umrę!

Oparła się plecami o drzewo.

Osłabła z głodu i gorąca.

Dla ciotki Tekli był to bodaj najszcześniejszy dzień w życiu.

Wróciwszy do roboty, cały czas uśmiechała się błogo, dziatwie i każdej z sióstr pokazała już słiczną nagrodę, ale nie zdążyła jeszcze podziękować Paniencie Najświętszej.

Biegając z głównego gmachu na folwark, spoglądała zalawionym wzrokiem na figurę Matki Boskiej w płaszczu niebieskim, z aureolą gwiazd złocistych nad głową.

Modlitwę szczerą, gorącą odkładała na szarą godzinę, kiedy wszystko ucichnie, a ona będzie mogła w spokoju przypaść do Niej, aby Przenajświętsze stopy łzami wdzięczności oblać.

Tymczasem tylko wzdychała radośnie, ocierając rękawem łzy.

Teraz, gdyby nawet Bóg śmierć zesłał, umarłaby spokojnie.

Chciałaby jeszcze doczekać, gdy Staśka sama na siebie pracować zacznie, zobaczyć ją szanowaną, cenioną, w pańskim otoczeniu, jak należało edukowanej paniencie.

Cud Boży nad sierotą! z takiej to biedy, z takiej nędzy wyszło.

Ojciec, woźny w biurze, umarł na suchoty; matka szyla po domach, aż zapracowała się na śmierć, a dziewczynka sama jedna została na świecie.

Ileż to takich sierotek przez jej ręce przeszło tu, w tym Bożym Domu.

Wszystkie w świat poszły, krzywdy nie mają, ale zawsze nie to, co jej „Panienska”.

Słońce zachodziło, ruch w domu ustał.

Ciotka Tekla po całodziennem dreptaniu przysiadła na ławce w korytarzu, dłonie na kolanach oparła—kości bołą!

Pierwszy raz w życiu przypomniała sobie, że jest starą. Sześćdziesiątka dobiega. Jeszcze ze dwa latka i koniec!...

Wpatrzyła się w klomb roślin, wśród któ-

rych widziała złocistą aureolę, a jednocześnie ujrzała Staškę idącą od bramy.

Zerwała się na równe nogi.

„Panienska” pewno z dobrą nowiną przychodzi. Zapóźnie trochę, dzisiejszy dzień to przecież święto dla nich obydwóch.

Podreptała na jej spotkanie; spotkały się przy figurze.

— No, cóż tam, mów, znów Bóg Wszechmocny łaskę ci zsyła, co?

Usiadły na ławce.

— Masz szczęście, dziewczyno! Ale pamiętaj, że to tylko szczęście, a nie twoje zasługi. Są lepsze, a tyś tylko szczęśliwsza...

Ujęła jej głowę w obie dłonie i pocałowała w czoło gorąco.

— Panienko moja!—szepnęła z miłością.— Do Łaszczów jedziesz, co?

Stasia poruszyła głowę przecząco; kręciła w palcach koniec fartuszka, łza za łzą spływały jej po twarzy.

— Ciociu, ja tu zostanę—szepnęła cichutko.

Podniosła oczy na figurę Matki Boskiej w złotej aureoli.

— Jakto? tu dziecko mieszkać nie możesz. A ciotka Magda, cóż?...

— Ja tu zostanę, ciociu, tu będę pracowała...

— Ty? taka delikatna. Eh, siły nie potemu!—kiwała głowę w białym kornecie.— Tu... trzeba tak kochać Boga, żeby aż o sobie zapomnieć... zupełnie! Od rana do wieczora ani jednej myśli nie mieć dla siebie... ani jednej!... Ja trzydzieści lat już służę biednym... chowam sieroty, to ja nic więcej na świecie robić nie mogę.. nie umiem! Ale ty... z taką edukacją...

— Ja tu zostanę, ciociu — powtarzała przez
 łyzy dziewczyna—może się przydam... spróbujcie!

Ciotka patrzyła na nią zdziwiona.

Milczały obie.

A Matka Boża wsłuchiwała się w ich my-
 śli i uczucia.

— Byłaś u ciotki Magdy?

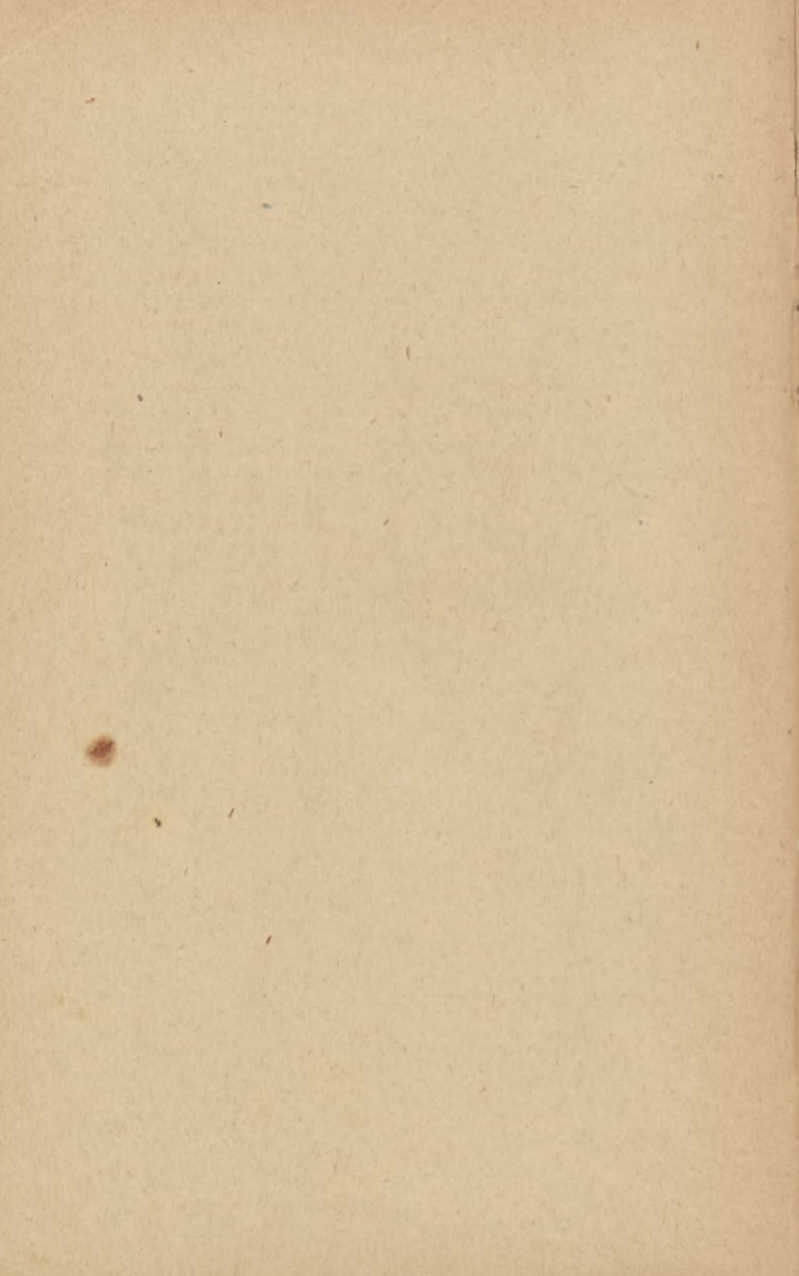
— Nie.

— A jadłaś co dziś?

Milczała.

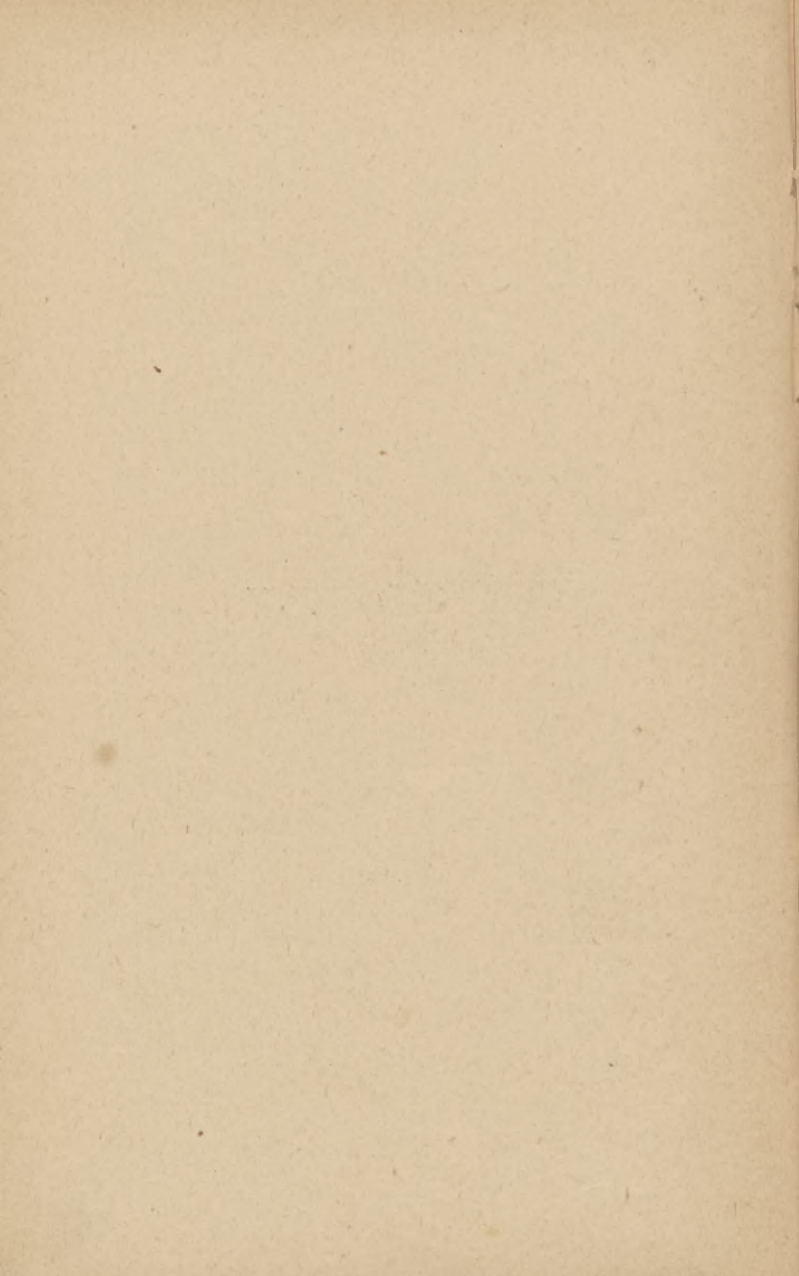
— Głodna! od rana! I to tego dnia, kiedy
 dostała pierwszą nagrodę! Bodajże cię!.... No,
 chodź, przenocujesz u nas, a jutro zrana pójdziemy
 do pani hrabiny.





UKRYTE SIŁY.

OBRAZEK.



Dzień chłodny, mglisty; na chodniku trudno odróżnić o kilka kroków eleganta z parasolem od tragarza z szafą na plecach.

Suzin biegł do domu z paczką kajetów pod pachą, potrącał przechodniów, ramieniem przyciskał paczkę, żeby się trochę od chłodu obronić, a zapomniał zapiąć palta, które wiatr rozwiewał, odsłaniając letnie szare ubranie. Wczoraj wpadł na trzecie piętro w sąsiednim domu — zdarzało mu się to i za lepszych czasów, a jednak teraz, biegnąc, nie może się pozbyć myśli, że pewno znów do domu nie trafi!

— Zwaryuję! tem lepiej! byle prędej!

Trafił. Wpadł do bramy, w kilku susach był na trzecim piętrze, zanim zadzwonił, oparł się plecami o ścianę przy drzwiach.

Chaotyczne myśli przycichnęły, serce zamarło, przymknął oczy—za progiem czekała go wiadomość, mająca rozstrzygnąć o reszcie zdrowych zmysłów. Zadzwonił ostrożnie—cichy odgłos dzwonka rozległ się w przedpokoju!

— No, a teraz co?

Uśmiechnął się idyotycznie — czuł ten głupi uśmiech, a nie mógł się go pozbyć. Drzwi otworzył doktor, kolega szkolny, przyjaciel; Suzin twa-

rzy jego w ciemnym przedpokoju widzieć nie mógł, a progu przestąpić nie śmiał. Stał z kajetami pod pachą... czekał, co mu powie.

— No wejdź—szepnął doktor — tylko do żony nie idź, ja tam zaraz do ciebie przyjdę.

Wszedł do sypialni i drzwi zamknął za sobą.

Suzin poszedł do salonu, usiadł na krześle przy drzwiach, w paltocie, w kaloszach, z kajetami pod pachą, tylko kapelusz zdjął i położył obok na krześle.

Mrugał oczami, usiłując skupić myśli.

I wczoraj nie wpuścili go do niej — ale wczoraj ten powiedział... „a pozwólże jej skonać spokojnie! Nie możesz się powstrzymać od głośnego płaczu, a to chorą drażni...” Płacz ten jednak przynosił mu pewną ulgę, od wczoraj czuje, że cały ból w mózgu się skupił — traci pamięć. Ani na chwilę nie może zatrzymać myśli, w dodatku jakaś głupia cyfra trzysta trzydzieści trzy wciąż mu przed oczami stoi mniej lub więcej wyraźnie, znika i znów się pojawia; trzy trójki i teraz widzi najwyraźniej przed sobą.

— Żyje... czy—eh!

Wsunął śpiesznie rękę do pustej kieszeni, szukał czegoś skostniałemi od zimna palcami; przypomniał sobie, że trzyma kajety pod pachą, położył je na krześle, patrzył na nie, a jednocześnie wsłuchiwał się w ciszę. Oczy łzami zaszyły, ale że słuch miał natężony, więc łzy pojedyncze spłynęły po twarzy, żal ucichnął.

Jeżeli żyje... dlaczego tak cicho? Malca zapewne zabrali ci...

Nie mógł przypomnieć sobie nazwiska sąsiadów; dziś już rozmawiał z kimś na ulicy, ścisnął za rękę i też nazwiska nie mógł sobie przypomnieć. Trzy ty-

godnie strasznej niepewności, ostatnie kilka nocy oka nie zmrużył ani na chwilę... a wciąż musi wyęźać uwagę, utrzymywać przytomność umysłu, bo gdyby poddał się na chwilę, to, kto wie, czy później nawiązałby te nici... tam—w mózgu. Scisnął głowę rękami.

— Co tu robić?

Przez jadalnię mógł wejść drugimi drzwiami do pokoju żony i przekonać się...

Zerwał się z krzesła.

— Jeżeli... to dlaczegoż on już nie przychodzi!

Uczuł tak gwałtowny ból w mózgu, że schwytał się rękami za krzesło, żeby nie upaść.

— Ratujcie!—szepnął—oh, ratujcie!

Rzucił się na fotel przy biurku, zamknął oczy, a pod powiekami zarysowała się fatalna cyfra mniejsza, niż zwykle, jaskrawo czerwona.

— Waryuję! trzeba coś zrobić... zawołać... a może ona tam... umiera! Wczoraj ten zaklinał na miłość dla dziecka, ażebym się uspokoił... więc i on przypuszcza, że mogę zwaryować!

Powiódł wzrokiem dokoła — szukał ratunku, bezwiednie usiłował oderwać myśli, zapomnieć na jedną chwilę... ot tak tylko, żeby ochłonać, zebrać siły.

Otarł chustką pot z czoła i patrzył długo na swoje wychudłe palce, a w myślach powtarzał mimowoli:

— Umarła... umarła... tak—umarła...

Oswajał powoli swą duszę z tym wyrazem, po chwili szepnął już prawie spokojnie:

— Tak... umarła!

Wziął z biurka swój bilet wizytowy, kręcił go

w palcach; namyślał się... to, co zrobić zamierzał, jeszcze go strasznie bolało, odrazu nie mógł...

— Józef Suzin! nauczyciel prywatny... Zofia Suzin, żona nauczyciela. Nie, „Zofia Suzin, żona nauczyciela prywatnego” — tak każe wydrukować na klepsydrach i w Kuryerze... „Żona nauczyciela prywatnego” — to jakby smutniej i biedniej wyglądała! Nauczyciel prywatny! To cała ich historia w tych słowach! Szalenie zakochany biedak żeni się z ubogą dziewczyną; gnieździ w paru izdebkach pod strychem; tu on zabija się pracą od rana do nocy i po paru latach zdobywa względny dobrobyt: trzy ciepłe i suche pokoje, trochę mebli i futro dla siebie i dla niej...

Jaka ona była śliczna w tem pierwszym w życiu futerku!

Równie ładnej nie widział... i już nie zobaczy!...

— Już jej nie... zobaczę!

Straszny ból szarpie serce, ale myśli spokojniejsze. Obmyśla wielkość klepsydry i zastanawia się nad tem, czy ogłosić w Kuryerze? Poco obojętni ludzie mają czytać o jego niedoli!...

Ścisnął gwałtownie głowę rękami.

— Wszystko przechodzi, i to przejdzie, trzeba się tylko oswoić z tą myślą... inaczej być nie może... to mnie uspokoi, uratuje! Wstyd mu tych myśli przed sobą samym, przed nią, ale ratować się musi.

Odkąd powiedział sobie, że wszystko skończone, mózg ochłonał nieco... a może tak mu się tylko zdaje? Zwaryować nie chce, nie może, musi żyć dla dziecka...

„Zofia Suzin, żona nauczyciela prywatnego” —

powtarzał śpiesznie, ażeby podtrzymać wątek, który rwać się zaczyna.

Ostatni wyraz nie rozrzewnia go już, powtarza go zupełnie spokojnie. „Pozostały w głębokim smutku mąż i syn!”. Syn, ten drobiazg dziesięć miesięcy ma zaledwo! Weźmie go z sobą na Powązki, sam go otuli, zawinie, do piersi przycisnie i za trumną poniesie... Niech i on razem z ojcem tę Golgotę przejdzie — to życie! Gdyby mogli obaj tam z żoną razem pozostać!

Zżymał się. Nie, dziecka nie weźmie, mogłoby się zaziębić. Jak on będzie chował to maleństwo? Dotąd prawie na rękę go nie trzymał. Teraz sam je będzie pieścił, pielęgnował, sam jeden w dzień i w nocy... jakoś to do niego przemawiać trzeba...

Uśmiechnął się nieznacznie, spojrział na swoje kościste ręce.

Matka to już go pewno rozumiała, i on matkę rozumiał.

Jak oni tu we dwóch żyć będą bez niej w tem samem mieszkaniu? Tu, gdzie każdy sprzął jej rękę pamięta?

— Poco ja siebie tak dręcę?

Stłumił oddech, czekał, czy nie nadejdzie doktor — cisza, jak w grobie. Iść tam nie miał odwagi — nie chciał!... Wolał czekać i oswajać się stopniowo ze straszną prawdą.

— Cóż ja na to poradzę!

Załamał ręce, siedział, jak odrętwiały; powoli łagodzące myśli zaczęły go znów oblegać.

— Jeżeli nie zwaryowałem dotąd, to już teraz nie czas! Zdaję sobie jasno sprawę z położenia i nawet już nie cierpię! Nie mogę, nie mam siły

cierpieć dłużej! Przedewszystkiem ucieknę z tego mieszkania! Tak? a dokąd? Choroba kosztowała paręset rubli, na pogrzeb trzeba pożyczyć... A potem? Bo ja wiem, jak sobie poradzę! Ona umiała oszczędzać... za rubla żyliśmy nieraz parę dni; tak tylko kobieta żyć potrafi. Sam sobie nie poradzę z dzieckiem, z gospodarstwem, w tem mieszkaniu. Tu na każdym kroku ślady jej pracy! Chociażby te rośliny w doniczkach... uschły już niektóre... przez te parę tygodni.

Rozglądał się po pokoju... Tyle chwil dobrych tu spędzili... on był wówczas innym człowiekiem, teraz jużby nie mógł odczuwać szczęścia, jest strasznie zgnębiony.

W żardinierce kilka uschniętych hiacyntów; przyniósł je przed samą chorobą, to jeszcze ona ustawiała doniczki, i dziś przyniesie jej kwiaty po raz ostatni.

Westchnął. Nie czuł już tego gwałtownego bólu w sercu, uspokoił się znacznie. W głębi duszy zrodziła się cicha, stłumiona radość z tej zmiany nagłej, że myśli te może niegodne, egoistyczne, uratowały go jednak!

— Ha, a dlaczegoż nie miałbym się powtórnie ożenić?

Zerwał się z fotelu. Myśl ta przeraziła go i zażenowała! Ściągnął brwi, chciał siebie strofować za ten wybryk głupi, nietościwy. Kochał żonę, wielbił ją za jej miłość bez granic, za dobroć, poświęcenie, za te parę lat szczęścia, które z nią przeżył. Myśl o innej kobiecie, teraz, kiedy ona może żyje jeszcze, wydała mu się ohydnie nikczemną. Biegał po salonie, chwycił krzesło; odsunął je z hałasem, zapomniał o ciszy, a jednocześnie odczu-

wał, że mu siły wróciły, znużenie zniknęło, myślał najzupełniej logicznie!

— Dlaczegoż nie miałbym się ożenić?—powtórzył, uradowany odzyskaną energią i chęcią do życia!

— Z kim? Przez te parę lat nie istniała dla niego żadna inna kobieta prócz żony, na żadną nie zwracał uwagi; los dał mu to, co było najlepszego w tym rodzaju, nie przypuszczał nawet, ażeby miał jeszcze kiedyś pomyśleć o miłości! on! Wzruszył ramionami, uśmiechnął się do tych myśli waryackich!

— A Julka! Śliczna dziewczyna! kuzynka żony; brunetka, zdrowa, wesoła! ta nigdy chorować nie będzie; ona to mieszkanie napelni śmiechem, wesołością, jak ptak, słońcem ogrzany. Samo zdrowie! Oh! zdrowie, to skarb największy!

Przypomniał sobie, że żona jego nigdy zupełnie zdrową nie była; szczupła, wątła, zapadała od czasu do czasu; i po raz pierwszy uczuł żal do niej za ten brak wesołości, śmiechu, który prawie nigdy nie rozlegał się w ich mieszkaniu. Julka to co innego!

Myśl ta sprawiała mu coraz większą przyjemność, była jakby wyrazem wszystkich zdrowych sił, które tkwiły jeszcze w skołatanej duszy. Julka młodsza od tamtej, zamożna; rodzice wieś mają; roduństwa sześcioro, co prawda, ale dziewczynie wyprawę sporządzą, jak należy i kilka tysięcy dadzą, nie zaraz może, ale zawsze dadzą! Dobrze to mieć rodzinę na wsi, w zamożnym dworze! Po ciężkiej pracy to się tam tak wypocznie, jak w raj! Sad olbrzymi, drzewa się uginają pod owocami, pasieka za ogrodem, wszystkiego wbród! Całymi dniami

można w trawie leżeć, patrzeć w niebo i nie myśleć o jutrze!

Julka, jakby dla niego stworzona! Zawsze się z nim przekomarza, biega za nim; ona ma słabość do niego! Dotąd traktował ją, jak dziką kozę... teraz dopiero spostrzega, jaki to skarb ta dziewczyna! Wysmukła, silna, z warkoczem po kolana! Wraziła mu się w pamięć mimowoli, nigdy o niej nie myślał, teraz nawet imię jej z trudnością sobie przypomniał. Kiedy się znajdzie w ich domu, wśród wesołych dziewcząt, wśród dzielnych chłopaków na swobodzie, w dostatkach — odżyje, odmłodnieje. Użyje tej wesołości szczęśliwej, której nie zaznał za lat najmłodszych, zapracowany, w niedostatku wśród ubogiej rodziny! Należy mu się ta zdrowa swoboda i będzie ją miał jeszcze on, któremu przed godziną zdawało się, że zwaryjuje z bólu.

Rzucił się na kanapkę, nogi na poręczu wyciągnął, ręce założył pod głowę; serce biło gwałtownie do szczęśliwej przyszłości! O przeszłości już nie myślał; wiedział, że po za nim zostały lata owe bezbarwne, wobec których otwierająca się perspektywa dalszego życia wyglądała, jak słoneczny dzień wiosenny wobec dzisiejszej mglistej pogody.

Głód mu dokuczał; przypomniał sobie, że od wczoraj pił tylko herbatę, a przez cały czas choroby jadał nieregularnie, nie sypiał, schudł i osłabł. Myślał o tem z żalem, niemal z wyrzutem; imienia żony nie wymienił wprawdzie, ale myślał o niej z coraz większą niechęcią. Zrujnował się fizycznie i materialnie na czas jakiś... Długo to nie potrwa, gdy Julka go ujrzy, będzie znów silnym i energicznym.

Mogło się „to” stać kilka lat później, a wówczas, kto wie, czy mógłby raz jeszcze rozpocząć nowe życie... Jeżeli się miało stać, to lepiej, że już się stało...

Sen go zmorzył; myśli snuły się urywane, ale prawie pogodne. Ostatni obraz mgłą zasnuty przedstawiał łąkę kwiecistą... ułożył się na niej, żeby wypocząć i... zdrzemnął się.

Doktór zajął do salonu; ujrzawszy śpiącego, skinął głową z zadowoleniem. Obawiał się o niego. W ostatnich dniach zdradzał objawy obłądzenia. W razie katastrofy można się było po nim wszystkiego spodziewać. Zdrowa natura zwyciężyła.

Suzin zerwał się na widok doktora... — spuścił oczy i czekał.

Doktór przysiadł obok niego na kanapie:

— Możesz iść do żony, spała cały ranek! Gorączka spadła, gardło czyste. Tfu do licha! Co to było, dalibóg nie wiem!

Wsunął ręce w kieszenie, usta złożył, jak do gwizdania.

— Sledziłem, badałem; to samo wiem dziś, co na początku choroby! Inni też to samo wiedzą. Idźże do żony, prosiła, żebym ciebie wezwał, a tylko nie płacz, bo znów za drzwi wyrzucę.

Zaczął gwizdać z cicha, co mu się zdarzało tylko w chwilach wielkiego zadowolenia.

Suzin zerwał się z kanapy.

— Byłem łotrem — szepnął, idąc do pokoju żony — ona mi to wybaczy... bo nigdy jej o tem nie wspomnę!

— Wiem, co mnie uratowało — mówiła do niego, gdy się uspokoił, przestał całować ją po rękach i usiadł na łóżku. Oto ciągle myślałam o Jasiu! Kto go wychowa, kto go będzie kochać, pielęgnować, kto mu matkę zastąpi! Ciągle o nim myślałam! Kilka razy byłam pewna, że już konam... Nic nie widziałam, nie słyszałam, a tylko z największym

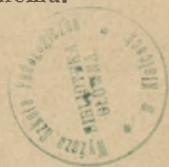
wysiłkiem powtarzałam: „Jaś! mój Jaś!” Gdybym o nim zapomniała na chwilę, serceby mi skrzepło i byłoby już po niem. Przymknęła oczy, łzy spływały po policzkach, ale uśmiechała się błogo.

A Suzin znów rzucił się na kolana przy łóżku i ręce jej całował. O Julce zapomniał, a tego bestyę malca będzie teraz kochał w dwójnasób zato, że matce uratował życie.

Zapomniał o nim... ale tylko ten raz, ten pierwszy i ostatni raz w życiu; odtąd już cały, do ostatniej kropli krwi w żyłach do nich należy!

Spojrzeli sobie w oczy po dawnemu.

K O N I E C.



OD REDAKCYI.

Panu Z. Groch. w Ossów. Serdecznie dziękujemy za życzliwość dla Biblioteki, będziemy się starali zastosować do życzeń Szanownego pana.

P. K. Zam. w S. Nie będziemy drukowali — za małe.

Panu Józefowi St. Pieniądze otrzymaliśmy—prenumerata Szanownego Pana do końca roku bieżącego zapłacona.

Pani L. L. z Bendzi. Gdyby to wszyscy tak pojmowali jak Szanowna Pani, bylibyśmy bardzo radzi. W każdym razie za wyrazy uznania dziękujemy serdecznie.

P. A. T. w Kijowie. Otrzyma Szanowna Pani, najdalej za 2 tygodnie.





822/+8

15 -

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

121523

Biblioteka WSP Kielce



0147513